

naturalnie PRZYRODA

Adrian Ślązok



Chorzów, 2021

Książka została udostępniona nieodpłatnie w internecie w formie cyfrowej, w celu popularyzacji fotografii, polskiej przyrody oraz postaw ekologicznych.

Zdjęcia zawarte w książce są chronione prawem autorskim. Ich publikacja służy wyłącznie ilustracji treści książki. Zabrania się korzystania z nich w inny sposób bez zgody autora.

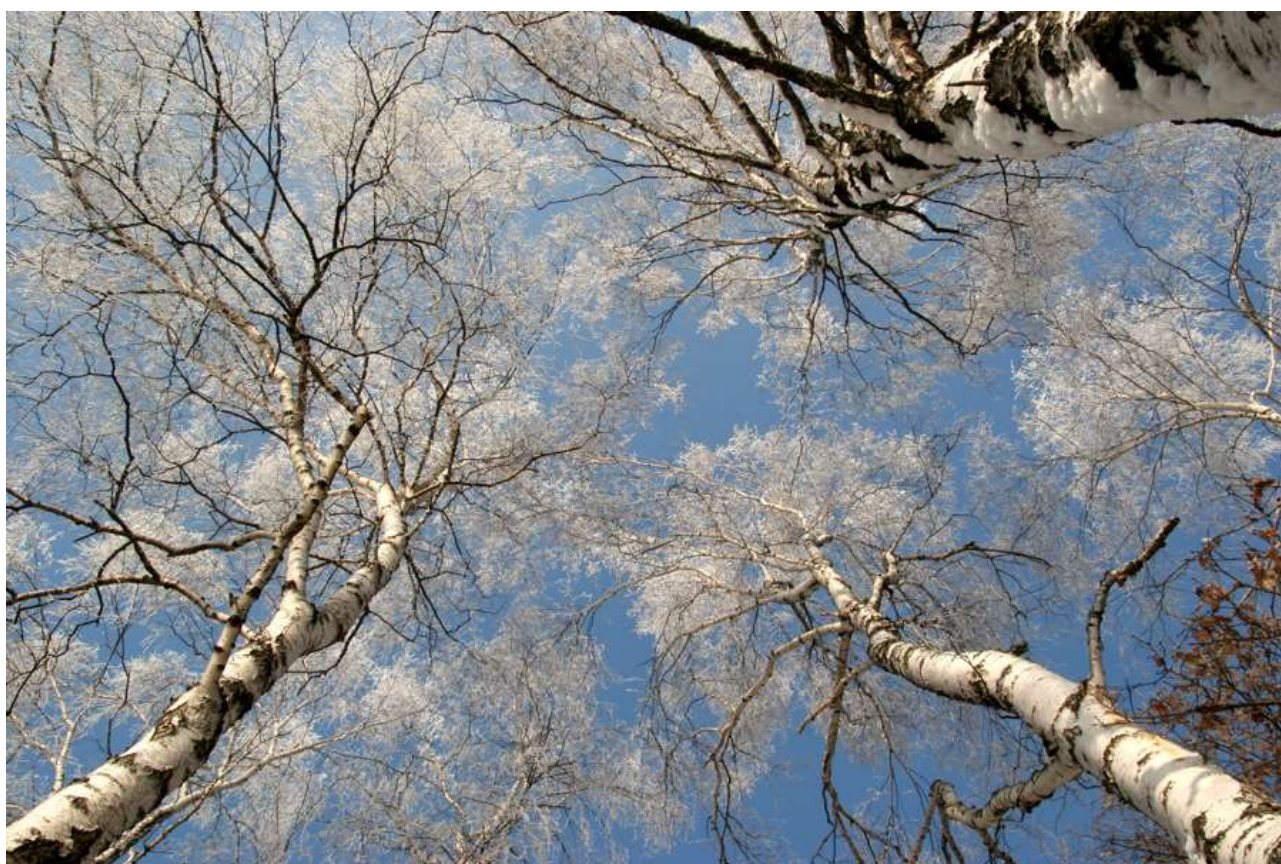
SPIS ROZDZIAŁÓW

1. Co mieszczuch robi w lesie?	str. 5
2. W pogoni za bielikiem I – Puszcza Białowieska	str. 11
3. W pogoni za bielikiem II – Rozlewisko Warty	str. 20
4. W pogoni za bielikiem III – Zalew Szczeciński	str. 28
5. Błoto, ptaki i zdjęcia	str. 35
6. Jak rozpocząć przygodę z fotografią przyrodniczą?	str. 42
7. Oko w oko z niedźwiedziem	str. 49
8. Na kozice z 600-tką	str. 57
9. Żabie Doły	str. 65
10. Dolina Górnej Wisły	str. 75
11. Karmnik	str. 82
12. Na plaży	str. 90
13. Focze opowieści	str. 98
14. Przygoda w puszczy	str. 109
15. Wodne portrety	str. 115
16. Z wizytą u Pana Chryпки	str. 122
17. Knyszyńskie rozważania	str. 128
18. Wilczy zew	str. 135
19. Na ryby	str. 144
20. W sercu Afryki	str. 151
21. Nie tylko zwierzęta	str. 161
22. Na granicy natury i cywilizacji	str. 166
23. Dobrzy dla przyrody	str. 172
24. Nota autorska	str. 181

Dla **Marka**,
nie trać umiejętności dostrzegania piękna, które cię otacza.

Chciałem podziękować osobom, które pomogły mi słowem i czynem w realizacji mojej pasji, a są to: **Ania Ślązok, Sylwester Wlaźlak, Sylwester Witkowski, Maja Szwed, Sylwia Malik, Piotr Łazikiewicz, Romuald Różalski, Piotr Pluciennik, Rafał Klimkiewicz, Marek Kosiński, Łukasz Sokołowski, Marcin Dobas, Michał Kość, Jarosław Jakóbczak, Krzysiu Sokal, Marcin Parzybut, Karolina Myroniuk, Tomasz Pyjor i Piotr Chara.** Oraz wielu innym, o których też pamiętam.

Co mieszczuch robi w lesie?



Szuka dzikich zwierząt. Czy je znajdzie?

Urodziłem się w bloku. A właściwie w szpitalu, ale mieszkaliśmy w Superjednostce – słynnym wieżowcu w Katowicach. Jest ogromny, podobno mieszkało w nim wówczas prawie 2000 mieszkańców. Wewnątrz mieścił się żłobek, dentysta, magiel i tym podobne instytucje. Natomiast pomiędzy charakterystycznymi nogami Superjednostki stały sklep spożywczy i kiosk. Z balkonu na trzynastym piętrze rozpościerał się widok na Rondo, Pomnik Powstańców Śląskich i Spodek, czyli ściśle centrum miasta. Wokół dominowały szaro-brudne betony, dobrze odzwierciedlające klimat szaroburego życia w latach 80-tych XX wieku, w dobie upadającego socjalizmu. Jakże atrakcyjne wydawały się wówczas pokazywane w telewizji filmy przyrodnicze. Oglądane w czerni i bieli (nie wiem czy tak były nadawane, czy my mieliśmy taki odbiornik) były prawie tak fascynujące, jak stare westerny z Hollywood. Jedne i drugie pokazywały daleki i egzotyczny świat. Tymczasem na wszystkich dwóch dostępnych programach tv dominowały puszczane w kółko seriale rodzimej produkcji, przypominające jak to podczas drugiej wojny światowej biliśmy Niemców. Być może to wówczas zrodziło się we mnie zainteresowanie światem przyrody. Pozostało ono uśpione przez kolejnych kilkanaście lat.

Gdy przeprowadziłem się z rodzicami do domu na przedmieściach Chorzowa, jeden z nowych sąsiadów rzekł z mądrą miną: Kto się urodził w bloku, ten powinien w bloku umrzeć! Wielokrotnie powtarzaliśmy te słowa w żartach, gdy trzeba było odśnieżać lub zgarniać liście. Na pewno opuszczenie ścisłego centrum aglomeracji sprawiło, że moje życie stało się bliższe naturze. Wystarczyło wywiesić słoninę za oknem, aby móc obserwować sikorki. Podczas spaceru z psem widziałem płoszone zające i bażanty. A miejscem tych spacerów była Maryna – zazieleniona hałda. Miejsce zdewastowane przez człowieka, lecz powoli odzyskiwane przez przyrodę.

Fotografia pojawiła się dopiero w moim dorosłym życiu jako uzupełnienie działalności dziennikarskiej. Widząc, jak często redakcje miały problem z zapewnieniem fotografa do obsługi opisywanych przeze mnie tematów, postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce. I to dosłownie – zakupiłem aparat i zacząłem robić zdjęcia. Bez przygotowania, wiedzy, czyjejkolwiek pomocy. Pomogło mi na pewno to, że trafiłem na okres rewolucji cyfrowej. Widok prostego aparatu cyfrowego w mojej dłoni wywoływał wówczas większe wrażenie, niż jakikolwiek sprzęt później. Fotografia mi się spodobała i w przeciągu zaledwie roku przekwalifikowałem się z dziennikarza piszącego w fotoreportera. Przy okazji dostałem do ręki narzędzie pozwalające na rejestrację przyrody.

Pierwsze moje aparaty miały jednak zbyt małe możliwości, aby fotografować trudne tematy. Dopiero zakup lustrzanki z teleobiektywem pozwolił na pierwsze poważniejsze próby. Były to jednak zdjęcia wykonywane "przy okazji". Miałem wówczas nieustannie sprzęt w zasięgu ręki, więc czasem zdarzała się sposobność wykonania zdjęć dzikich zwierząt. Pamiętam na przykład, jak podczas rowerowych wypraw po Jurze Krakowsko-Częstochowskiej jeździłem z plecakiem pełnym sprzętu, licząc, że na szlaku czekają ciekawe tematy. W ten sposób sfotografowałem między innymi interesującą scenę przeganiania młodych bocianów z gniazda. Dorosłe osobniki – rodzice – nalatywały na gniazdo w taki sposób, aby zmusić młode do lotu.

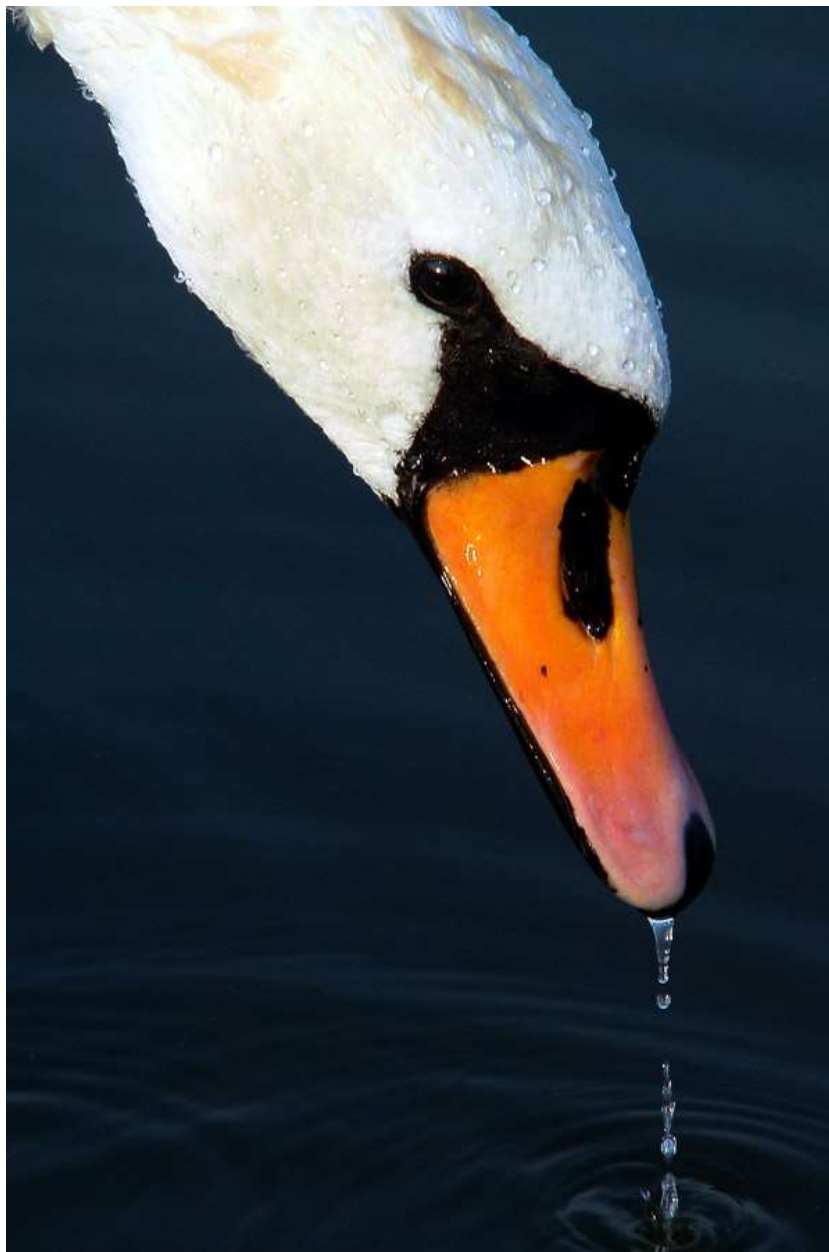


Na zdjęciu trudno pokazać zachowanie zwierząt. Bez komentarza naocznego świadka fotografia mogłaby przedstawiać po prostu lądowanie bociana na gnieździe.

Świadome fotografowanie przyrody zaczęło się dopiero w 2010 roku. Przeczytałem w internecie wywiad z Markiem Kosińskim, naukowcem i fotografem, który właśnie otrzymał nagrodę w ważnym konkursie fotograficznym. Fotograf poruszył między innymi temat fotografowania bielików w Puszczy Białowieskiej. I tak sobie pomyślałem, że fajnie byłoby wzbogacić portfolio o zdjęcie króla przestworzy. Skontaktowałem się z Markiem i niedługo potem zameldowałem się u niego w domu. Korzystając z pomocy doświadczonego fotografa zrobiłem zdjęcie bielika. Nie byłem

jednak w pełni usatysfakcjonowany i postanowiłem spróbować raz jeszcze. Potem jeszcze raz. A skoro udało się z bielikiem to próbowałem z niedźwiedziem, z wilkiem... I tak od dziesięciu lat.

Fotografia przyrodnicza to duża różnorodność tematów. Krajobraz, rośliny, grzyby, owady, ale mnie najbardziej interesują dzikie zwierzęta. Skupiam się na polskiej faunie, fotografowanej w naturalnym środowisku.



Wykonanie portretu łabędzia z wodą kapiącą z dziobu w roku 2003 wymagało ode mnie ponad 40 prób i zajęło mi około piętnastu minut. Obecnie tyle zdjęć wykonuję w trybie seryjnym w ciągu 4 sekund. Rewolucja cyfrowa spowodowała ogromne zmiany w zakresie obrazowania, ale również rozwój wszystkich pozostałych aspektów technicznych.

Historia jednego zdjęcia

Kowalik w locie



Czy można wykonać ciekawe zdjęcie przyrody amatorskim sprzętem fotograficznym? Wcześniej pisałem, że dopiero lustrzanka i teleobiektyw pozwoliły mi wykonywać udane fotografie. Nie jest to do końca prawda. Znajomość tematu, cierpliwość i szczęście z pewnością mogą wyrównać braki sprzętowe. Czasami ważniejszy jest pomysł lub akcesoria (np. zwykła siatka maskująca). Zdjęcie kowalika, choć nie pozbawione mankamentów, jest ciekawe z kilku powodów.

Jesienią 2004 roku na Stadionie Śląskim w Chorzowie odbył się mecz piłkarskiej reprezentacji Polski z kadrą Anglii. Wydarzenie nie lada, bo w angielskiej drużynie grał wówczas David Beckham, ikona futbolu i popkultury. Ponieważ stadion znajduje się na terenie Parku Śląskiego (wówczas jeszcze nosił nazwę Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku), po odbiór akredytacji udałem się na rowerze, łącząc przyjemne z pożytecznym. Jak zwykle zabrałem ze sobą aparat fotograficzny, tym razem niewielki kompakt. Mając już cenną przepustkę w ręku, postanowiłem „zapolować” na ptasią drobnicę w miejscu, gdzie spacerowicze dokarmiają wiewiórki i ptaki.

Użyłem dość prymitywnego kompaktu canon Powershot G3 (to nie ten, który obecnie jest w sprzedaży, tylko jego pierwowzór sprzed około 20 lat). W zestawie z G3 sprzedawano wówczas pilot do zdalnego wyzwalania aparatu. Postanowiłem to wykorzystać. Ustawiłem włączony aparat w pobliżu miejsca, gdzie rozsypane było ziarno. Potem w niewielkiej odległości czekałem, co się stanie. I tu kolejna ciekawostka. Miejsce było silnie zacienione przez drzewa, a matryca G3 nie pozwalała na skuteczne fotografowanie z czułością wyższą niż ISO 100. Szumy przy wyższych czułościach były, patrząc z dzisiejszej perspektywy, przerażające. Dlatego zdecydowałem się na wymuszenie błysku lampy aparatu oraz ustawiłem czas na zaledwie 1/30 sek.

Gdy przyleciał kowalik, oczywiście spóźniłem wyzwolenie migawki. Zresztą kto miał okazję fotografować aparatami cyfrowymi w tamtym czasie, na pewno pamięta, że od naciśnięcia spustu migawki do momentu wykonania zdjęcia mijała dłuuuuuuga chwila! Paradoksalnie dzięki temu udało mi się sfotografować ptaka w locie, co długo było dla mnie powodem do dumy. Światło lampy błyskowej skutecznie zamroziło ptaka – czyli nie zawsze potrzebne są ultra-krótkie czasy naświetlania. Pomogła mi również duża głębia ostrości, charakterystyczna dla aparatów z małymi matrycami. W ten sposób mankamenty sprzętu udało mi się wykorzystać jako atuty.

W pogoni za bielikiem I – Puszcza Białowieska



Polowanie na bielika najczęściej kończy się zdjęciami... kruków. To bardzo inteligentne ptaki. A na śniegu prezentują się znakomicie.

Gdy nawiązałem kontakt z Markiem Kosińskim i zdradziłem zamiar sfotografowania bielika, otrzymałem od niego szczegółowe instrukcje. Znalazły się w nich dokładne zalecenia co do sprzętu, ubrania i specyfiki fotografowania w czatowni. Pamiętam, że wśród przesłanych danych znajdowały się również współrzędne z dokładną lokalizacją domu Kosińskich (długość i szerokość geograficzna). Pomyślałem, że to będzie całkowite odludzie. Ostatecznie okazało się, że dom stał na skraju Białowieży. Niemniej styl pracy Marka, a konkretnie ilość i dokładność wytycznych, bardzo mi pomogły w przygotowaniach. Myślę też, że walenie przyczyniły się do tego, jak później sam przygotowywałem się do kolejnych foto-wypraw. Mianowicie starałem się jak najdokładniej rozeznawać i wybierać tematy, miejscówki oraz czas plenerów. Przydatnym zwyczajem okazało się tworzenie „list startowych”, w których wypisywałem wszystko, co zamierzałem ze sobą zabrać, dzieląc od razu na konkretne torby i plecaki, w których je potem znajdę. W trakcie pakowania odhaczałem kolejne pozycje. Na tej samej kartce miałem również wypisane inne ważne informacje, dane adresowe, kontakty oraz czynności, jakie pozostają mi do wykonania wcześniej rano, przed wyjazdem z domu.

A sprzętu zabierałem wówczas naprawdę dużo. W pierwszej kolejności musiałem zadbać o obiektyw. W tym celu zadzwoniłem do Rafała Klimkiewicza, właściciela Agencji Fotograficznej Edytor, dla której czasami robiłem zdjęcia. Na mój apel, by pożyczył mi 400-tkę na wyjazd, odpowiedział z entuzjazmem. Jednak do moich rąk trafił najstarszy model w firmie. Pozostałe musiały „pracować”. W ten sposób miałem jedyną w życiu okazję używania rzadko już spotykanego obiektywu canon 400/2,8, w wersji jeszcze bez stabilizacji obrazu. Już widok porysowanej skrzynki przywodził myśli typu: Czy to szkło jest starsze ode mnie? Wrażenie pogłębiało się przy próbie podniesienia skrzynki z obiektywem. Z trudem doniosłem ją do samochodu. A zatem jak nosić tak wielki i ciężki obiektyw? Coś wymyśliłem. Wyciągnąłem z piwnicy dawno zapomniany plecak turystyczny ze stelażem. Wymościłem go kocem i włożyłem obiektyw z założoną osłoną przeciwsłoneczną. Zmieścił się z trudem, jednak po zamknięciu plecaka okazało się, że jest ok. W taki sposób mogłem go przenieść na dużą odległość.

To jednak był dopiero początek. Okazało się, że nie mam odpowiednich butów. Sprawę udało mi się szybko rozwiązać w sklepie. A co z trójnogim statywem, który wytrzyma ciężar ogromnej 400-tki? W Edytorze mieli w zestawie tylko monopod. Nie umiałem też odnaleźć nieużywanego od lat śpiworu. Zabierałem oba moje aparaty fotograficzne canony eos 20d i 50d. Nadal nurtowały mnie kolejne tematy. Czy mam wystarczająco dużo pamięci, jeśli mi się poszczęści i ptaki będą pozować? A zasilanie? Przecież wielogodzinna sesja w ujemnej

temperaturze wystawi na trudny test akumulatorki. A kalosze jeśli będzie mokro? A lampa czołówka? Nigdy do tej pory takiej nie używałem. Pytań przybywało, szczęśliwie w wielu tematach mogłem polegać na przyjaciółach, którzy wspomogli mnie własnym sprzętem i dobrą radą.

Gdy byłem gotowy, wyruszyłem na spotkanie przygody. Choć był to początek grudnia, dopisało mi szczęście, spadł śnieg. Ba, spadło go bardzo dużo. Już na miejscu miałem problemy z parkowaniem. A po powrocie do domu nie mogłem wjechać do garażu, bo przed domem czekała rekordowych rozmiarów bryza śniegu, utworzona przez wielokrotny przejazd spychacza odśnieżającego ulicę. Póki co śnieg był jednak moim sprzymierzeńcem. Mróz i opady śniegu utrudniają drapolom (ptakom drapieżnym) zdobywanie pożywienia i zwiększają szansę na udane fotograficzne łowy. Również wieści sprzed czatowni były optymistyczne – ptaki przylatują regularnie. Oczywiście w fotografii przyrody nic nie jest pewne. A bielik to trudny temat. Wiele zależało ode mnie, czy jako początkujący nie popełnię błędów? Wśród osób z branży popularne jest powiedzenie, że na bielika trzeba zasłużyć.

Fotografowanie ptaków drapieżnych z czatowni nie jest bowiem łatwe. Dla mnie trudnością było nawet zapamiętanie nazwy, uparcie wówczas przekręcałem ją na „czatownicę”. W Puszczy Białowieskiej była to mała drewniana budka postawiona na skraju lasu, z elementami maskującymi i dwoma otworami na obiektywy. Mój niepokój budził rozmiar czatowni. Mając dwa metry wzrostu, zawsze sprawdzam rozmiar łóżek przed rezerwacją noclegów. W przypadku czatowni wyboru nie było. Ostatecznie się zmieściłem. Musiałem się ukryć już godzinę przed wschodem słońca. Jeśli doda się do tego konieczność dojazdu, a odległość okazała się niemała, wstać musiałem o nieprzyzwoicie wczesnej godzinie. A raczej w środku nocy. Czas spędzony w czatowni wyniósł dziesięć godzin, gdyż z wyjściem również musiałem poczekać godzinę po zachodzie. A przecież był to krótki grudniowy dzień!

Wspomniałem już o dojeździe do czatowni. Nie chcąc ryzykować jazdy przez puszcę, musiałem dojechać do Hajnówki i dopiero stamtąd na miejsce. Istniał skrót przez las wykorzystywany przez miejscowych, jednak nie chciałem spotkać ochrony rezerwatu, a ponadto po obfitych opadach śniegu ciężko byłoby wyminąć samochód jadący z naprzeciwka. Droga okrężna również dostarczyła niemałych emocji. Najpierw w świetle reflektorów pojawiły się dziki. Szczęśliwie uniknąłem kolizji. Potem nawigacja poprowadziła mnie pod niewłaściwy dom. Nim jeszcze wyszedłem z samochodu, w drzwiach chałupy pojawił się starszy pan, wypuszczając agresywnie szczekające psy. Może to moja wyobraźnia, ale czy nie trzymał broni w rękach? Wkrótce wyjaśniło się,

że to nie ten adres. Pojechałem dalej według udzielonych wskazówek, zastanawiając się jednocześnie – czy tutejsi w ogóle nie śpią? W końcu dotarłem na miejsce. Czekala mnie przesiadka do terenówki, a potem marsz przez las. Trochę miałem kłopotu, aby zabrać ze sobą wszystkie toboły.

Wśród sprzętu fotograficznego, krzeselka, jedzenia, termosu, śpiworu, znalazła się również pusta butelka po spryskiwaczu samochodowym. Zabrałem ją na wypadek, gdyby potrzeba sikania okazała się zbyt duża. Bo w trakcie dnia nie można opuszczać czatowni. Wybór odpowiedniej butelki był ważny – decydowały rozmiar, szczelna nakrętka i duży przekrój otworu. Szczerze mówiąc nie spodziewałem się, że ją napełnię. Jednak szybko przekonałem się jak dużo moczu oddaję w ciągu dnia. Problemem nie było tylko sikanie. Dlatego ubrałem pieluchę dla dorosłych. Na szczęście ani wtedy, ani nigdy później z niej nie skorzystałem. Wydaje mi się nawet, że doczekałem się psychicznej blokady, gdyż nie przypominam sobie sytuacji silnej potrzeby tego typu podczas przebywania w czatowni.



Myszołów i kruki przeganiały się wzajemnie.

Widok z czatowni rozpościerał się na dużą łąkę. Znajdowało się na niej nęcisko, czyli miejsce, w którym wystawiono przynętę. Idealnym rozwiązaniem jest padlina, najczęściej zwierząt potraconych przez samochód. Białym świtem,

gdy światła było jeszcze bardzo mało, na nęcisku pojawił się ptak. Myszołów, a może młody bielik? Mimo, że wcześniej oglądałem zdjęcia tych ptaków, teraz nie miałem pewności. Wkrótce przyleciał drugi i rozpoczęły taniec. Przypominał walkę. Ptaki szamotały się w powietrzu łącząc się szponami. W przerwach pomiędzy tymi pojedynkami lądowały na śniegu, przy czym jeden górował nad drugim. A ja pstrykałem jak oszalały, nie zważając, że 1/60 sekundy nie pozwalała na wykonanie ostrych zdjęć.

Ptaki rozpoczęły żerowanie, a wkrótce dołączyły do nich kruki. Te przynajmniej od razu rozpoznałem. Był to dobry sygnał, gdyż bieliki i kruki są ze sobą powiązane w swoich zwyczajach. Bieliki mają dużo ostrożniejszą naturę. Przeważnie długo obserwują teren, aby upewnić się, czy jest bezpiecznie. Spokojnie żerujące kruki są sygnałem dla bielików, że można dołączyć do uczty. Z tym spokojem kruków to chyba jednak przesadziłem. Kilkadziesiąt ptaków pozostawało stale w interakcji. Największe wrażenie robił na mnie moment, gdy przelatywały nad czatownią. Wówczas nie tylko słyszałem ich głosy, ale również szelest skrzydeł. Szybko się zorientowałem, że co jakiś czas jeden z ptaków wyskakiwał na chwilę w powietrze, po czym ponownie opadał pomiędzy współbiesiadników. Zacząłem polować na takie ujęcia „w locie”. Kruki nie tylko przeganiały się nawzajem, ale również zaczepiały ptaki, które przyleciały jako pierwsze. Te na zmianę usuwały się z godnością przed czarną zgrają lub odwrotnie, ostro ruszały w kierunku kruków, by je przegonić.

Tożsamość ptaków udało mi się ustalić, gdy tylko na łące wylądował bielik. Różnica w rozmiarze i wyglądzie była więcej niż wyraźna. W dodatku, był to dorosły osobnik, o iście królewskiej aparycji. Instynkt reportera zadziałał natychmiast. Skierowałem obiektyw w jego stronę i odpaliłem serię zdjęć. Brak cierpliwości przyniósł oczywisty skutek. Ptak odleciał. Postanowiłem jednak zastosować się do porad Marka i następnym razem poczekać, aż bielik poczuje się pewnie i zacznie jeść. A obiektywem poruszać najwolniej, jak się da. Ptasi wzrok jest wręcz przysłowiowy. Dodajmy do tego, że trudno ocenić kierunek, w jakim patrzy bielik. Szeroko rozstawione oczy zapewniają mu bardzo duże pole widzenia. Niestety drugiej szansy już nie było.

Kolejnego dnia bielik nie przyleciał. Szkoda, bo śniegu było jeszcze więcej, w nocy napadał świeży. Brak możliwości ruchu w czatowni spowodował, że mimo ciepłego ubrania było mi zimno. Miałem przy sobie chemiczne ocieplacze, pozwalające ogrzać ręce. Po złamaniu niewielkiego opakowania wydziela ono ciepło przez kilka godzin. Wydajniejsze rozwiązanie pokazał mi kiedyś znajomy myśliwy. Było to pudełko, w którym po zapaleniu żarzył się

mini brykiet. Pudełko nie generowało widocznego dymu, ale niestety wytwarzało intensywny zapach. Dodam, że do czatowni nie trzeba ubierać się z myślą o kamuflażu. To czatownia jest naszym ukryciem. Jeśli dojdzie na miejsce nie wymaga jakiegoś szczególnego wysiłku, znaczenia nie ma też oddychalność lub odporność na wodę ubrania. Ważna jest dobra izolacja termiczna. W moim przypadku najlepiej sprawdzała się gruba puchowa kurtka, którą trzymałem w szafie na wszelki wypadek od czasów szkoły średniej. Okazała się idealna w tych nietypowych okolicznościach.

Choć założony cel – zdjęcie bielika – został zrealizowany, daleko było mi do satysfakcji. W dodatku trudy pierwszych sesji w czatowni dały znać o sobie. Pomimo, że dbałem o komfort cieplny, czułem się bardzo wyziębiony. W obawie o zdrowie, kolejnego dnia zamiast do czatowni bielikowej, wybrałem się do ogrodowej. Stała ona w ogrodzie domu Kosińskich. Fotografowanie nie było objęte tak ostrymi restrykcjami. A jednocześnie działa się tam naprawdę wiele. W przeciągu dwóch godzin sfotografowałem siedemnaście gatunków ptaków. W tym przedstawioną jako największą atrakcję – orzechówkę. Do domu wracałem więc z uczuciem spełnienia ale i niedosytu.



Pierwsze zdjęcie bielika – powód do dumy, ale pełnej satysfakcji brak.



Orzechówka ma wyjątkowe upierzenie. Nawet na ostrych zdjęciach wygląda na rozmyte.



Do gustu przypadł mi również kolorowy grubodziób.

Historia jednego zdjęcia

Jurajski smok



Z Markiem Kosińskim utrzymujemy kontakt do dziś. Wielokrotnie pomagał mi w rozpoznaniu gatunków zwierząt na moich zdjęciach. Niestety spotkaliśmy się już tylko raz, za to w ciekawych okolicznościach. Mój syn jest miłośnikiem średniowiecza, interesują go rycerze i ich zwyczaje. W związku z tym często jeździmy na zjazdy grup rekonstrukcyjnych z tamtego okresu historycznego. Ja również chętnie uczestniczę w tego typu imprezach, gdyż mam okazję do wykonania ciekawych fotografii, które czasem sprzedają się w mediach. Łączenie pracy z przyjemnością rzadko się udaje, ale w tym przypadku tak właśnie jest.

Zatem gdy w ruinach zamku w Ogrodzieńcu zorganizowano wydarzenie „Wrota czasu”, nie mogło nas tam zabraknąć. Znając dobrze okolicę zaparkowałem w pewnej odległości od zamku. Moim celem była piesza wycieczka wzdłuż skalnych ostańców. W jej trakcie zauważyliśmy jaszczurki zwinki wygrzewające się na kamieniach. Takiej okazji nie wolno przepuścić. Korzystając z tego, że mieliśmy dwa aparaty fotograficzne, rozpoczęliśmy równoczesną sesję. Niestety fotografowanie lustranką bez obiektywu makro nie przynosiło dobrych efektów. W związku z tym pożyczyłem canona

PowerShot G15 od syna i wykonałem kilka zdjęć kompaktem.

Udało się stworzyć całkiem ciekawą fotografię kojarzącą mi się ze smokiem przed smoczą jamą. Fotografując bez statywu miałem trudności ze złapaniem ostrości w odpowiednim miejscu. Wszystkie wykonane zdjęcia charakteryzowały się back focusem (aparat wyostrzał za obiektem). Prawdopodobnie był to efekt uboczny fotografowania z ręki. W fotografii makro głębina ostrości jest tak mała, że fotografowie często używają różnych sztuczek mających ją zwiększyć, na przykład stackowanie, czyli łączenie kilku zdjęć. W tej sytuacji nie było to konieczne, zapewne wystarczyło zwiększyć wartość przesłony.

Mając zdjęcia zwinki udaliśmy się na zamek. I tam spotkaliśmy Marka Kosińskiego, specjalistę od zdjęć przyrody, fotografującego walczących rycerzy. Czyli tego dnia zamieniliśmy się rolami...

W pogoni za bielikiem II – Rozlewisko Warty



Księżę i żebrak.

Rozbudzone zainteresowanie fotografią przyrodniczą zaowocowało inwestycjami w sprzęt oraz samodzielnymi próbami fotografowania ptaków na Śląsku. A jednak gdzieś w tyle głowy kołatała się myśl – co z tym bielikiem? Tym razem podszedłem do tematu w nieco inny sposób. Wybrałem warsztaty fotograficzne w ramach Akademii Nikona. W ten sposób nie musiałem się martwić noclegami, wyżywieniem, a nawet sprzętem. Podczas warsztatów można było korzystać z aparatów i obiektywów firmy Nikon. Taka okazja była dla mnie tym ciekawsza, że na co dzień używam canona. Porównanie sprzętu ze stajni dwóch największych producentów było bardzo kuszące.

Początkowo w najmniejszym stopniu doceniłem fakt, że opiekunem warsztatów będzie Piotr Chara. Po prostu go wcześniej nie znałem. A jest to osoba o wielkiej charyzmie. O przyrodzie opowiada z pasją i swadą, niczym doświadczony gawędziarz, a jego entuzjazm jest zaraźliwy. Jednocześnie jest perfekcjonistą i człowiekiem o szerokich horyzontach. Jak sam twierdzi „fotografia nie wystarczy” i zgodnie z tą maksymą zaangażował się w działania zmierzające w kierunku ochrony przyrody. Ciekawym i pożytecznym rozwiązaniem są wyspy życia. Polegają na aranżowaniu przestrzeni przez człowieka w sposób, który ułatwi ptakom znalezienie bezpiecznych miejsc gniazdowania. Polecam do samodzielnego sprawdzenia, łatwo można znaleźć informacje w internecie.

Rozmowy z Piotrem na temat podstawowych pojęć fotografii, tak dobrze przecież mi znanych, lecz przeniesionych na grunt zdjęć przyrody, pomogły mi określić kierunek w jakim zmierzałem. Światło, kompozycja, jakość obrazu. Początkowo wydawało mi się, że wiesza poprzeczkę zbyt wysoko. A jednak dałem się porwać wizji Piotra i wkrótce przyniosło to efekty w postaci zdjęć jednocześnie subtelnych i efektownych. Czy były to już zapowiadane przez Piotra „obrazy przyrody”?

Ocenę pozostawiam czytelnikom. Jednak jestem pewny jednego. Fotografia przyrody przywróciła mi radość fotografowania. Po latach wykonywania zdjęć pod słowa kluczowe, z myślą o późniejszej sprzedaży i zarobku, znowu cieszyło mnie robienie zdjęć samo w sobie. A nawet ich przeglądanie i edycja w komputerze. Ponownie chciałem je pokazywać bliskim i chwalić się nimi przed znajomymi. Tak jak to było podczas moich pierwszych fotograficznych prób.

Trafiłem też na ciekawą ekipę uczestników. Do dziś utrzymuję kontakt z Wojtkiem Nawrockim. Był już wtedy doświadczonym fotografem...

podwodnym. W związku z tym, że każdy z nas miał doświadczenie z innej dziedziny, nasze rozmowy były bardzo ciekawe. Wojtka już zawsze będę kojarzył z sytuacją, w której wykazał się dużym hartem ducha i twardymi kolanami. Czatownie, z których fotografowaliśmy, były wyposażone w krzesła. Niestety, był to chyba niechciany sprzęt biurowy. Skrzypiały przy najmniejszym ruchu, co w związku z koniecznością zachowania ciszy, nie było komfortowe. A może miało nas specjalnie zmobilizować do jak najmniejszej aktywności, byśmy nie płoszyli ptaków? Na pewno założeniem nie był wypadek Wojtka. Stare, rozklekotane krzesło się pod nim złamało. Biorąc pod uwagę wysokość, na której znajdował się otwór na obiektyw, przez kolejnych kilka godzin musiał klęczeć, by móc zachować gotowość do fotografowania. Bardzo mi tym zaimponował, gdyż nie byłem pewien czy sam dałbym radę. Odpowiedź poznałem wiele lat później, gdy podczas rykowiska musiałem fotografować w tej pozycji i nie wymiękłem.

Skoro piszę o innych uczestnikach, nie bez sympatii muszę wspomnieć o Turystce. Nazwałem ją tak, bo... spóźniła się na warsztaty. Zabrała ze sobą niefotografującą osobę towarzyszącą, co wydawało się nieco dziwne. Podczas przygotowań rzucała lekceważące komentarze, a w czatowni spała. No cóż, w jednej z czatowni nie była w tym osamotniona. Dostosowana do potrzeb fotografów łódka zamarznięta na środku rozlewiska rzeki Warty, pozwalała fotografować w pozycji leżącej, z bardzo niskiej perspektywy. Było to tym korzystniejsze, że czatownię otaczała ciągnąca się kilometrami tafla lodu. Wymarzone miejsce dla fotografa marzącego o sfotografowaniu bielika. I trochę niebezpieczne. Dojście do czatowni po krze wymagało znajomości terenu i umiejętności wybrania właściwej drogi. Wejście na kruchy lód zakończyłoby się, dosłownie, zimną kąpielą. Czekając na ptaki należało też uważnie obserwować lód. Gdyby ściemniał konieczna była jak najszybsza ucieczka. To sygnał, że na rzece utworzył się zator, woda wzbiera, a lód zacznie pękać. Wspomniana kąpiel, przy temperaturze powietrza minus dziesięć stopni Celsjusza, ze sprzętem fotograficznym, wśród pękającej kry, to zdecydowanie czarny scenariusz.

Skoro płynnie przeszedłem od uczestników do czatowni, to warto wspomnieć o kilku udogodnieniach, które różniły je od tej zapamiętanej z Puszczy Białowieskiej. O tym, że w środku czekały krzesła już wspomniałem. W otwory na optykę włożone były puste butelki plastikowe. Ich zadaniem było przyzwyczajanie ptaków do obecności obiektywów. W środku znajdowały się również gazowe farelki, które bardzo się przydały, gdyż mróz sięgał minus kilkunastu stopni. No właśnie, najzimniejszego dnia farelka zamarzała i nie dało się jej odpalić. Trudno, trzeba być twardym. Natomiast to, co najbardziej

wyróżniało czatownie Piotra, to była ich piękna lokalizacja. O rozlewisku Warty już pisałem. Druga znajdowała się na torfowisku w środku lasu, otoczona brzezina. Dodatkowo w polu widzenia znajdował się jeszcze karmik dla drobnych ptaków, aby umilić czas oczekiwania na drapieżniki.

Torfowisko od razu mi się spodobało i miałem dobre przeczucia. Trudno żeby było inaczej, skoro już podczas pierwszego rekonesansu, kiedy tylko mieliśmy poznać drogę do czatowni, zaczęły się dziać rzeczy magiczne. Spłoszyliśmy kilka bielików, które w powietrzu zataczały koła, a następnie dwa z nich szczepiły się szponami. Wszystko widzieliśmy przez korony drzew, więc nie była to sytuacja fotograficzna, ale doznania były pierwszej klasy.



Myszołów jest pięknym ptakiem, nie zawsze docenianym przez fotografów.

Niestety rzeczywistość brutalnie zweryfikowała moje nadzieje. Bieliki przylatywały, również dorosłe osobniki. To ważne, gdyż dorosły bielik, okraszony siwizną i z wybielonym ogonem wygląda jak prawdziwy Orzeł (właściwie orłan, ale systematyka nie ma większego znaczenia w tym kontekście). Dorosłe ptaki są też dużo ostrożniejsze i rzadziej pozwalają się sfotografować. Generalnie można przyjąć zasadę, że w świecie przyrody łatwiejszymi celami są młode, niedoświadczone osobniki. Zarówno dla drapieżników, jak i dla fotografów. Tymczasem mnie nie sprzyjało szczęście.

Wszyscy wokół pstrykali zdjęcia bielików, które dosłownie siadały im przed obiektywami. A ja nauczony wcześniejszymi doświadczeniami, zachowując najwyższą ostrożność, czekałem na swoją okazję i nie płoszyłem ptaków zbędnymi ruchami obiektywu. Więcej szczęścia miałem z myszołowem. Serce do dziś mi się raduje, gdy oglądam zrobione wówczas zdjęcia. Ale co z tym bielikiem?

Warsztaty dobiegły końca. Uczestnicy rozjechali się do domów. Na szczęście Piotr, specjalnie dla mnie, zgodził się na jeszcze jedną próbę. Mglisty poranek i szeroka tafla lodu zlewały się w całun otaczający chatownię. Trudno było ocenić widoczność. Nie było horyzontu. Niczego nie było. Pozycja leżąca, wbrew pozorom jest bardziej męcząca od siedzącej. Przynajmniej podczas obserwacji terenu lub w trakcie fotografowania. Czas biegł nieubłaganie. W końcu wylądowałem na plecach, a oczy zaczęły mi się kleić. Ale, ponieważ był to teren przygraniczny, świadomość przywrócił mi sms witający mnie w Niemczech. Zaraz gdy tylko zapoznałem się z taryfą połączeń w ramach roamingu, sprawdziłem co dzieje się przed chatownią. Był bielik. Co prawda młody, ale za to blisko i w jakże pięknych okolicznościach przyrody! Właściwie to czułem się jak podczas pracy z modelem w studio. Zdjęć nie zrobiłem dużo, ale za to bardzo ciekawe, o unikalnej estetyce.



Portret młodego bielika wygląda jak wykonany w studio.

Już po wszystkim Piotr raz jeszcze zapytał mnie o wrażenia wysyłając sms. Odpisałem: Zmęczony, ale szczęśliwy!

A jak wypadło porównanie canona do nikona? Zestawiając dobrze znanego mi canona 5 d mark II do nikona D 700, musiałem uznać przewagę tego drugiego. System ustawiania ostrości, szczególnie w trybie ciągłym, był dużo lepszy. Canon oferował za to większą rozdzielczość i mniejsze zaszumienie przy wysokich czułościach. Zdjęcia wykonane nikonem charakteryzowały się również chłodniejszymi barwami. Ale mógł to być również wpływ optyki. Bowiem obiektyw w dużej mierze decyduje również o kolorystyce fotografii. Był to czas, kiedy kilku fotoreporterów z mojego otoczenia zdecydowało się na zmianę systemu z popularniejszego canona na nikona. Jednak taka zmiana jest bardzo trudna i kosztowna. Wymaga wymiany nie tylko aparatu, ale również obiektywów, lamp i wielu akcesoriów. Ważnym czynnikiem jest również posiadanie sprzętu tego samego producenta, jaki posiada twój pracodawca lub znajomi. Wówczas możliwe jest pożyczenie sprzętu, wymiana doświadczeń lub chociażby szybkie sprawdzenie własnego sprzętu, gdy coś nie działa.



Przy czatowni kręciły się również sójki.

Historia jednego zdjęcia

Strażnik lasu



Przez ostatnich dziesięć lat fotografowałem przyrodę w wielu, często zaskakujących miejscach. Ulubioną miejscówką na fotografowanie kokoszki wodnej było maleńkie jeziorko w środku miasta, między blokami. Najlepsze zdjęcia rybitw zrobiłem w stawie otoczonym wielkimi maszynami budowlanymi. Nie wiem do końca jakiego typu prace były tam prowadzone. Gniazdującą pustulkę sfotografowałem w szybie wentylacyjnym Urzędu Miasta w Chorzowie. Sesja wymagała specjalnego zezwolenia Wydziału Ochrony Środowiska i wykonywana była pod nadzorem pracownika urzędu. Zdjęcia zostały nieodpłatnie udostępnione, aby uniknąć kolejnych sesji fotograficznych. Były też inne dziwne miejscówki, w których zastosowanie szerszego kadru zburzyłoby obraz dzikiej przyrody. Czasami nawet zdjęcia wykonywane w naprawdę dzikiej głuszy również nie prezentowały się najlepiej. Oczywiście dużo zależy od fotografa, na przykład od wyboru czasu sesji – w zależności od pogody, pory roku i pory dnia. Niemniej o miejscówkę, w której piękno przyrody jest fotograficzne, to znaczy można je uchwycić na zdjęciu, nie jest łatwo. A połączyć taki krajobraz z portretem zwierzęcia jeszcze trudniej.

Zdjęcie strażnika lasu – w tej roli myszołów – wykonałem podczas warsztatów fotograficznych prowadzonych przez Piotra Charę. Stało się ono dla mnie wzorem fotografii nazywanej portretem środowiskowym. Takie zdjęcia pokazują nie tylko zwierzęta, ale też środowisko w jakim żyją. Oczywiście nawet piękna brzezina w tle nie wystarczy. Ważna jest kompozycja, czyli zwierzę musi być w silnym punkcie. Również układ takich elementów jak drzewa nie jest bez znaczenia. Tak jak powinno być w portrecie więcej przestrzeni jest przed ptakiem (myszołów jest po jednej stronie zdjęcia, ale patrzy w drugą). Dodatkowo zrównoważone światło pozwoliło na wykonanie zdjęcia bez przepaleń w światłach. A kto fotografował na śniegu, ten wie, jakie to trudne. Czasami nie mogąc sobie poradzić inaczej, z rozmysłem prześwieślałem śnieg, uzyskując ciekawy efekt zawieszenia głównego motywu w próżni. Tutaj nie było to ani możliwe, ani potrzebne.

Wiele portretów środowiskowych wykonałem nad wodą. Ściana lasu odbijająca się w tafli jeziora pozwala na zastosowanie ciekawej kompozycji. Takie zdjęcia cieszą oko odbiorcy. Również odbicie zwierzęcia w wodzie może być bardzo dobrym motywem, szczególnie jeśli model i jego odbicie znajdą się we właściwych miejscach w kompozycji całej fotografii.

W pogoni za bielikiem III – Zalew Szczeciński



Bielik w pełnej krasie.

Czy polowanie na bielika się zakończyło? Zdecydowanie nie. Jak to mówią apetyt rośnie w trakcie fotografowania. Moją uwagę przyciągnęła Dolina Baryczy. Odbyłem tam nawet jednodniowy rekonesans. Interesowała mnie szczególnie tutejsza infrastruktura, złożona

z ogólnodostępnych czatowni i wieży widokowej. Zbudowane zostały raczej z myślą o bird watchingu, odległości od ptaków są duże, a perspektywa niekorzystna. Jednak dla amatorów przyrody są godne polecenia. Imponująca jest tu populacja bielika, w okolicach Milicza mówi się o kilkudziesięciu osobnikach. Wszystko za sprawą blisko 300 stawów rybnych zlokalizowanych w tym rejonie. Jednak zdjęcia innych autorów wykonane na tym terenie rzadko imponowały mi estetyką. Nadal szukałem lepszej miejscówki.

I znalazłem. Strzałem w dziesiątkę okazał się Zalew Szczeciński. Miejscowi rybacy od lat żyją z bielikami za pan brat. W przeciwieństwie do żarłocznych kormoranów, bieliki budzą ich sympatię. Często rybakom zdarza się rzucić bielikowi rybę z własnego połowu, co z pewnością korzystnie wpływa na wzajemne relacje. Rejs łódką daje duże szanse na sfotografowanie króla przestworzy, również z odległości pozwalającej na wykonanie zdjęć niewymagających kadrowania. Po kilkuletnich doświadczeniach związanych z mrozem, ciągłą ostrożnością i niepowodzeniami, nad zalewem miałem wrażenie, że przelatujące nad głową bieliki są tu popularne niczym gołębie w mieście.

Oczywiście nie oznacza to, że wykonanie dobrego zdjęcia jest proste. Bielik polujący, z rybą, w dobrym świetle, z ładnym tłem, z korzystnym układem skrzydeł, z rozbryzgiem wody... To wymaga pracy i cierpliwości. Niesprzyjającą okolicznością jest fakt, że bieliki są tu jakby nieco rozleniwione, późno zaczynają aktywność, kiedy najkorzystniejsze światło jest już tylko wspomnieniem. Mimo to starałem się rozpocząć sesję jak najwcześniej i rano fotografowałem inne gatunki, głównie mewy. Ptaki te nie budzą respektu, ani fascynacji miłośników przyrody. Zapewne za sprawą tego, że łatwo je spotkać, nawet w mieście. Jednak ten brak zainteresowania ze strony fotografów powoduje, że dobrych zdjęć mew wcale nie jest dużo. Dodatkowym problemem bywa opis fotografii. Rozpoznanie gatunków jest bardzo trudne, często zdarzają się pomyłki. I ja miałem taką sytuację podczas jednej z publikacji w czasopiśmie „Głos Przyrody”. Na szczęście opieka merytoryczna czuwała i wychwyciła mój błąd.

Prócz mew rejs był okazją do zobaczenia lub sfotografowania łabędzi, czapli i kormoranów. Szczególnie tych ostatnich było dużo. I tu ciekawostka. Bieliki

często korzystają z obecności kormoranów. Siedliska tych ptaków łatwo rozpoznać. Gniazdują w dużych koloniach, na wysokich drzewach, nad wodą. Odchody ptaków niszczą drzewa. Pozbawione liści lub igieł, pokryte ptasimi ekskrementami, nabierają też charakterystycznych, jasnych barw. Ptaki łatwo zauważyć, gdyż przesiadują w licznych grupach, susząc szeroko rozwarte skrzydła. Kolejną charakterystyczną cechą kormoranów jest bowiem to, że nasiakają wodą. Jednak w kontekście bielika ważniejszy jest fakt, że pod drzewami tworzącymi siedlisko kormoranów łatwo znaleźć ryby. Zdarza się bowiem, że kormoran gubi swoją zdobycz. Sprytnie bieliki zamiast polować samemu wolą się przespacerować szukając zgubionych ryb.



Zdjęcie mewy i orla cień.

Wybór łódki, z której będziemy fotografować, wcale nie jest rzeczą łatwą. Są rybacy, którzy zdążyli się wyspecjalizować w rejsach z turystami. Również z tymi wyposażonymi w aparaty fotograficzne i kamery. A w poszukiwaniu bielików ściągają tu ich miłośnicy z całego świata. Mnie osobiście przeszkadzały relingi otaczające łódź. Podobno przepisy wymuszają ich montowanie dla bezpieczeństwa pasażerów. Ja jednak nie byłem zwykłym turystą. Szukając jak najlepszej perspektywy, siadałem na dnie łodzi, czym wprawiałem w wesoły nastrój resztę załogi. Problemem był wspomniany reling, który znajdował się dokładnie na wysokości mojego obiektywu. Ciągłe

musiałem decydować, czy będę fotografował powyżej czy poniżej. Tymczasem sytuacja wymagała ciągłego rozglądania się po niebie. Ptaki nadlatywały z różnych stron i na różnych wysokościach. Nalotów w odległości pozwalających na wykonanie zdjęcia było tylko kilka podczas rejsu. Przegapienie okazji do wykonania zdjęcia byłoby dużym rozczarowaniem.



Bielik w klasycznej pozie podczas ataku szponami, po skadrowaniu do pionu pasował idealnie na okładkę.

Porównując fotografowanie z łodzi i z czatowni, muszę przyznać, że łódź ma wiele atutów. Czas sesji jest krótszy. Sposób ubrania nie ma większego znaczenia. Nie ma skrajnych temperatur, nie trzeba się również maskować. Oczywiście wiatr może być dokuczliwy, a jeśli słońce przygrzeje, bywa również gorąco. Największą przeszkodą w trakcie sesji może być deszcz. Są specjalne pokrowce pozwalające zabezpieczyć sprzęt, również w kolorach maskujących. Jednak szansa na spotkanie z ptakami w trakcie deszczu są znikome. Choć łódź jest chybotliwa, to pomaga fakt, że na zalewie nie ma wysokich fal, a fotografuje się z krótkimi czasami. Nie ma drzew rzucających cienie, za to problemem może być częste fotografowanie w kierunku nieba i słońca, czyli pod światło. Duża powierzchnia zbiornika wodnego powoduje, że tło jest zazwyczaj daleko i przeważnie nie przeszkadza. Po akwenie pływają inne łodzie, a nawet duże statki. Może to być okazją do wykonania zdjęcia bielika w okolicznościach kontaktu z ludzką cywilizacją. Najlepsze pory roku, ze względu na aktywność bielików, to wiosna i jesień. Są też odważni fotografowie, którzy fotografują bieliki zimą na zalewie pokrytym lodem.

Podsumowując, plener należał do najbardziej udanych. Wykonałem więcej zdjęć bielika niż udało mi się nazbierać przez prawie sześć lat, które upłynęły od pierwszych prób w Puszczy Białowieskiej. Jednak tylko kilka fotografii było naprawdę udanych. Miejscówka zapewnia duże możliwości, ale oczekując efektów trzeba zainwestować czas, którego mnie jak zwykle brakowało. Jednak była jeszcze jedna korzyść z tego wyjazdu. Poznałem Tomka Pyjora, z którym potem jeszcze kilkakrotnie „skrzyżowałem obiektywy”. Szczególnie pomógł mi w realizacji ambitnego planu fotografowania moich ulubionych fok. Ale o tym opowiem w innym rozdziale.



Mewa gubi zdobycz podczas polowania.

Historia jednego zdjęcia

W stronę światła



Podczas rejsu łodzią wykonałem również jedno z moich ulubionych zdjęć. Zrywający się do lotu łabędź to częsty motyw fotografii. Przyczynia się do tego fakt, że łatwo go spotkać, nie boi się człowieka i jest dużym obiektem. Ale również jest piękny i w przeciwieństwie do lekceważonych mew, cieszy się popularnością wśród fotografów. Ja oczywiście również mam dużo zdjęć łabędzi, szczególnie z początku mojej przygody z fotografią przyrodniczą.

Jednak o sile tego konkretnego zdjęcia decyduje w mniejszym stopniu model, a bardziej klimat fotografii. Promienie wschodzącego słońca sięgają tylko ptaka, ściana lasu znajdująca się w tle pozostaje nieoświetlona. To kolejne zdjęcie, które przywodzi na myśl efekt sesji studyjnej. A takie zdjęcia cieszą mnie szczególnie, są rzadko spotykane i mają niewątpliwe walory estetyczne.

Oczywiście kluczem do wykonania powyższej fotografii było zastosowanie krótkiego czasu ekspozycji. Automatyka aparatu z pewnością wybrałaby dłuższy czas, w efekcie ptak byłby częściowo przepalony, a tło straciłoby swoją magię. Ja ekspozycję ustawiłem w trybie manualnym, dobierając parametry w taki sposób, aby zachować prawidłowe naświetlenie ptasich piór pomimo

zmieniającego się tła. Samo ujęcie było efektem szybkiej reakcji, w moim przypadku już chyba można mówić o odruchu fotografowania w momencie zauważenia ruchu. W ramach serii wykonałem więcej zdjęć, ale to spodobało mi się najbardziej ze względu na układ skrzydeł ptaka oraz rozbryzg wody.

Proponuję porównać zdjęcie z zamieszczonym poniżej, również przedstawiającym startującego łabędzia. Oba zostały wykonane w tym samym dniu podczas rejsu po Zalewie. Będzie to ciekawe ćwiczenie pozwalające na określenie roli światła w budowaniu zdjęcia.



Łabędź startujący do lotu, klasyczne ujęcie.

Bloto, ptaki i zdjęcia



Gra światel w tle jest równie ważna jak główny motyw zdjęcia – rybitwa rzeczna.

W fotografii bardzo ważna jest teoria "decydującego momentu". Pojęcie, które wprowadził Henri Cartier Bresson, jeden z dawnych mistrzów, w moim przypadku odniosę do prawdziwego życia. Miało to miejsce w czerwcu 2012 roku. Obsługa Euro 2012, czyli Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej odbywających się w Polsce, była z pewnością szczytowym momentem mojej kariery fotografa prasowego. W tym samym miesiącu uczestniczyłem też w kolejnym plenerze fotograficznym, ponownie pod okiem Piotra Chary. Ten charyzmatyczny fotograf z pewnością miał największy wpływ na późniejszy kształt mojej fotografii przyrodniczej. Jednocześnie był to pierwszy plener, który zyskał aprobatę mojej żony. Wcześniejsze wyprawy odbywałem z "duszą na ramieniu", wiedząc, że w domu zapłacę wysoką cenę. Na szczęście wspomniany wyjazd okazał się przełomowy również w tym kontekście. Pasja, piękne zdjęcia i radość z ich wykonania, mają nieproporcjonalnie większą wartość, gdy można się nimi podzielić z bliskimi. Reasumując – to właśnie wtedy fotografia przyrodnicza przestała być dla mnie jednorazową przygodą, okazją do wzbogacenia portfolio. Nie rezygnując z wykonywania zawodu fotografa dokumentującego zachowania ludzi, odkryłem, że to co sprawia mi największą satysfakcję to fotografowanie dzikich zwierząt.



Pamiątkowe zdjęcia z meczu Polska – Czechy w trakcie EURO'2012 oraz z warsztatów fotograficznych.

Plener u Piotra Chary przyniósł interesujące zdjęcia i obserwacje przyrody. Ciekawym doświadczeniem było fotografowanie z pływającej wyspy, zwanej również pływadelkiem. Ubrany w suchy skafander czołgałem się lub pływałem ukryty w pływającym i pokrytym kamuflażem urządzeniu. To była zabawa nie tylko w sensie fotograficznym, ale próba robienia czegoś całkiem nowego, zaskakującego. Oczywiście przed wyjazdem zdawałem sobie sprawę na co się piszę, jednak posmak nowości, przekraczania granic, odkrywania nieznanych dotąd możliwości, był przeogromny. W porównaniu do siedzenia i czekania

w czatowni, tu mój wpływ na rozwój sytuacji był dużo większy.

Przemieszczanie się w pływadelku nie było proste. Pierwsza próba wypadła pomyślnie. Jednak już pierwsze prawdziwe zanurzenie odbywające się w ciemności, przed wschodem słońca, przyniosło wiele emocji. Zbiornik wodny był w miejscu wodowania na tyle głęboki, że nawet pomimo mojego wzrostu nie sięgałem dna. Przed zanurzeniem, a po założeniu skafandra, należało wycisnąć powietrze ze skafandra. W tym celu przyjmowało się odpowiednią pozycję, pochyloną, na nisko ugiętych nogach, przyciskając łokcie do ciała. Chyba nie wykonałem tego wystarczająco dokładnie. Dość powiedzieć, że przebywając w wodzie, w ciemnościach, dodatkowo z głową zakrytą przez pływadelko, niemal straciłem orientację gdzie góra, a gdzie dół. Nogi wypływały mi na powierzchnię i nie umiałem spionizować ciała. Walka jaką toczyłem o odzyskanie kontroli, była tym trudniejsza, że będąc już w wodzie narażałem sprzęt fotograficzny. Jednocześnie starałem się nie robić hałasu, aby nie spłoszyć ptaków. Na szczęście nie poddałem się panice i skończyło się tylko na przyspieszonym pulsie.



Ostrygojady są bardzo popularne na północy Europy, jednak fotografie wykonane w Polsce są rzadkością.

Choć plener odbywał się w czerwcu i woda nie była bardzo zimna, długie

przebywanie w wodzie wymagało dbałości o komfort termiczny. Tym bardziej, że poruszanie się w pływadełku było ograniczane do minimum. Gwałtowne ruchy niechybnie spłoszyłyby ptaki. Przemieszczanie się polegało na delikatnych ruchach nogami, "coś w rodzaju rowerku". Stopy były maksymalnie odwiedzione, aby stworzyć jak największą powierzchnię w celu odpychania się w przód. Ewentualnie na płytkich wodach trzeba się było czołgać, ale również bardzo powoli, zachowując cierpliwość. W związku z tym pod suchy skafander ubierałem dwie pary kałesonów, spodnie z polaru, narciarskie spodnie i skarpety, bieliznę, koszulę, dwa polary i kurtkę. Zapewne skafander z pianką rozwiązałby problem lepiej, ale ten używany przeze mnie pochodził z wojskowego demobilu. I miał jeszcze jeden mankament. Na wysokości prawej pachy miał małą dziurkę, niezauważalną dziurkę. Woda powoli się przez nią sączyła. Po kilku sesjach wszystkie ubrania miałem już mokre. Musiałem podjąć konkretne działania związane z zarządzaniem swoim ubraniem, na przemian susząc i używając dwa zestawy.

Głównym przedmiotem naszego zainteresowania były rybitwy rzeczne. Przyznaję, że polująca rybitwa to jeden z najpiękniejszych spektakli przyrody jakie widziałem. W przeciwieństwie do szponiastych, które atakują właśnie szponami, rybitwa wbija się w wodę, aby schwycić rybę dziobem. Jednocześnie jest w locie bardzo elegancka. Wkrótce okazało się, że technika fotografowania z pływadełka, od strony wody w kierunku brzegu, świetnie nadaje się do wykonywania zdjęć wielu różnych gatunków, również ssaków.

Zdjęcie zrywającego się do lotu żurawia wykonałem z pływadełka udającego łabędzia. Był to mały staw, w którym zazwyczaj było dużo czapli. Akurat w tym dniu nie miałem szczęścia, czapli było tylko kilka i stały daleko, na tle ścian roślin. Czekałem aż zacznie się coś dziać. I rzeczywiście doczekałem się ciekawego spektaklu. Żuraw, gdy tylko się pojawił, zaczął hałasować i przeganiać inne ptaki. Wkrótce wszystkie czaple i bociany odleciały. Prawdopodobnie dorosły osobnik przeprowadzał "strusia" - młodego żurawia, który jeszcze nie potrafi latać. To jedynie domysł, ale prawdopodobny, gdyż opisane zachowanie nie jest typowe dla żurawi i trudno je inaczej wytłumaczyć.



Wbrew pozorom żuraw nie startuje do lotu, ale przegania niewidoczną na zdjęciu czapkę.



Koziołek sarny sfotografowany z wody w kierunku brzegu.

Historia jednego zdjęcia

Żuraw



Sporo miejsca poświęciłem opisowi okoliczności powstania zdjęcia żurawia biegnącego po wodzie. Ale historia fotografii ma również ciekawy ciąg dalszy. Ujęcie umieszczone w rozdziale i to zaprezentowane powyżej wykonałem w tym samym miejscu i czasie, w trakcie jednej serii zdjęć. Jednak pierwsze wyselekcjonowałem i edytowałem ja, a drugie Piotr Chara. Używaliśmy różnych programów do obróbki grafiki, ale też korzystaliśmy z różnych doświadczeń i oczywiście różnimy się poczuciem estetyki. Ten przykład pokazuje jak różne mogą być efekty sesji fotograficznej w wyniku decyzji podejmowanych w postprodukcji.

W tym miejscu muszę się przyznać, że podczas fotografowania popełniłem błąd. Takie ryzyko niesie używanie cudzego sprzętu. Na co dzień fotografuję sprzętem firmy Canon. Jednak możliwość przetestowania flagowej lustrzanki Nikona była dla mnie zbyt mocną pokusą. W pływającej wyspie miałem jednakże problem z obsługą. Aparat był zbyt blisko twarzy, nie widziałem przycisków, a tym bardziej górnego wyświetlacza. Próbując skorygować ustawienia, zmieniłem niechcący wartość przesłony z F4 na F7,1. W efekcie czas migawki wydłużył się niemal dwukrotnie do 1/250 sekundy. Nim

uporałem się z problemem, pojawił się żuraw strasząc inne ptaki, a ja robiłem zdjęcia ze świadomością, że uratuje mnie tylko panoramowanie (śledzenie obiektu ruchem obiektywu). Biorąc pod uwagę warunki w jakich fotografowałem, wyszło całkiem nieźle.

Podczas selekcji zdjęć wybrałem to, które wydało mi się najostrzejsze. Najczęściej rozmazane były nogi żurawia – to mi nie przeszkadzało, ale przeważnie też głowa kołysząca się na długiej szyi. Odbicie ptaka w wodzie było ucięte, więc je wykadrowałem, decydując się na większe zbliżenie żurawia. Lekko przyciąłem cienie, aby przyciemnić tło, które jak na mój gust było zbyt pstrokate. Natomiast Piotr zdecydował się na jedyne ujęcie, w którym udało mi się zmieścić w całości zarówno ptaka, jak i odbicie w wodzie. Ociepili kolorystykę. Zdjęcia, choć podobne, mają całkiem inny klimat, jakby były robione w innej sytuacji. I sam już nie wiem, które jest lepsze.

Jak rozpocząć przygodę z fotografią przyrodniczą?



Wiewiórki często wspinają się na drzewa. Jeśli są wysoko, trudno o wykonanie dobrego zdjęcia. Jednak gdy znajdują się na niewielkiej wysokości, można uzyskać bardzo ładny portret.

Na takie pytanie musiałem odpowiedzieć myśląc o moim siedmioletnim synu. Do fotografowania przyrody zainspirował nas konkurs fotograficzny ogłoszony w szkole. Ponieważ jestem zawodowym fotografem, w dodatku z zamiłowania fotografem przyrody, było czymś oczywistym, że mój syn stanie w szranki.

Jaki temat będzie najlepszy na dobry początek? Coś co nie będzie wymagać specjalistycznej wiedzy, sprzętu, nie będzie wymagać dalekich dojazdów i zajmie stosunkowo mało czasu. A jednocześnie przyniesie satysfakcjonujące rezultaty. Wybór padł na wiewiórki w Parku Śląskim. Jako mieszkaniec Chorzowa i częsty bywalec parku znałem miejsce, w którym dokarmiane są przez spacerowiczów drobne ptaki i wiewiórki. Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że najlepszą okazją na sesję będzie czwartkowy poranek. W tym czasie w parku panuje spokój, a zwierzęta nie czują takiego przesytu karmieniem jak podczas weekendu. Rzeczywistość zweryfikowała moje plany i w plener udaliśmy się w sobotę rano. Zamierzaliśmy wykorzystać jesienne liście i tylne naturalne światło (czyli pod słońce). Godziny fotografowania również okazały się późniejsze od zamierzonych, ale taki już urok fotografowania z dzieckiem. Na szczęście światłocien wśród drzew okazał się w miarę przyjemny, z akceptowalnym kontrastem.

Jakie zabraliśmy ze sobą wyposażenie? Przede wszystkim lekkie. Canon eos 50d w połączeniu ze stałą 200/2,8 waży tylko ok. 1500 gram. A daje ekwiwalent ogniskowej 320 mm z zachowaniem jasności F 2,8. Ponadto zabraliśmy kompakt canona G16, który w połączeniu z bezprzewodowym wyzwalaczem Yongnuo, miał służyć jako fotopułapka do zdjęć szerokim kątem. Ponadto niezbędne były orzechy w skorupach oraz mata dla psa, która posłużyła nam jako siedzisko. Kolor ubrania nie miał znaczenia, bo nie zamierzaliśmy się ukrywać. Również zwykłe obuwie sprawdziło się na parkowych alejkach.

Na miejscu zaczęliśmy od przygotowania scenerii. Na kamieniu wykorzystywanym przez osoby karmiące wiewiórki ukryłem wśród liści G16, układając przed obiektywem kilka orzechów i kasztanów dla lepszego efektu. Ustawiając aparat starałem się wypełnić kadr jedynie przyrodą, gdyż w parku łatwo jest zepsuć zdjęcie np. latarnią lub drogowskim. Skorzystałem z preselekcji przesłony ustawiając pełny otwór – F 1,8 i najszerszą ogniskową – ekwiwalent 28 mm. Przy czułości ISO 200 aparat robił zdjęcia z czasem 1/500, co dawało szansę uchwycenia ruchliwych wiewiórek. Ostrości miała szukać automatyka, wykorzystując funkcję detekcji twarzy. Liczyłem, że algorytm podziała równie skutecznie jak w przypadku fotografowania ludzi. Poza tym

automatyka w tym trybie preferuje pierwszy plan i to powinno wystarczyć, o ile tylko zwierzę zajmie wystarczająco dużo miejsca w kadrze. Do aparatu podpiąłem bezprzewodowy wyzwalacz radiowy Yongnuo. Była to najprostsza i najtańsza wersja pozwalająca jedynie na wyzwolenie migawki. Taki wyzwalacz ma jednak wiele plusów. W związku z posiadaniem tylko dwóch diod i brakiem jakichkolwiek funkcji dodatkowych oferuje dłuższy czas pracy oraz duży zasięg. Podczas omawianej sesji nie miało to większego znaczenia, ale w innych okolicznościach mogło być kluczowe.



Wiewiórka pozuje w stojce na parkowej alejce. Liście powodują, że nie widać śladów cywilizacji. Silne tylne światło wymagało pewnej korekty na poziomie edycji zdjęcia (zmniejszono kontrast, i nieco rozjaśniono cienie).

Matę dla psa rozłożyłem na środku betonowego chodnika – i tak był cały pokryty liśćmi – w odległości ok. pięciu metrów od kamienia. Usiadłem na macie ustawiając się pod światło i mając w zasięgu fotografowania fotopułapkę. Rozrzuciliśmy kilka orzechów, a syn zajął się „wywołaniem” wiewiórek. Szczerze mówiąc wystarczyło tylko zaznaczyć swoją obecność ruchem i rozmową, aby zwrócić uwagę zwierząt. Wiewiórki reagują zainteresowaniem licząc na nową dostawę jedzenia. Siedząc na macie miałem korzystną pozycję pozwalającą na fotografowanie mniej więcej z poziomu zwierząt. Oczywiście gdybym się położył perspektywa byłaby korzystniejsza.

Nie zrobiłem tego z trzech powodów: wiewiórki często wspinają się po pniach drzew i wówczas siedząca perspektywa była korzystniejsza, siedząc mogłem kontrolować większy odcinek planu zdjęciowego, w dalszej fazie sesji fotografując z synem trzymałem go na kolanach i pomagałem obsługiwać sprzęt fotograficzny.

Lustrzanke ustawiłem w programie preselekcji przesłony, oczywiście otwierając maksymalnie przesłonę F 2,8. Wprowadziłem korektę ekspozycji +0,7 – przecież zamierzałem fotografować pod światło i bez korekty wiewiórki byłyby niedoświetlone. Co prawda ostateczną jasność zdjęcia i tak ustalałem podczas edycji plików RAW, jednak błędy w ekspozycji mogą być trudne do późniejszej poprawy w komputerze. Podobnie jak w przypadku G16, ustawiłem zdjęcia seryjne. Biorąc pod uwagę szybkość poruszania się i nieprzewidywalność ruchu małych zwierzątek, zrezygnowałem ze śledzenia ostrości. Ostrość „łapałem” na tradycyjnej automatyce, decydując się wyłącznie na centralny punkt pomiaru. Po prostu w mojej ocenie punkt centralny działa lepiej od pozostałych (nawet jeśli pozostałe są również krzyżowe lub podwójnie krzyżowe). Biorąc pod uwagę wynikającą z małych rozmiarów ciała ruchliwość wiewiórek i tak liczyłem się z koniecznością późniejszego kadrowania zdjęć.

Na wiewiórki nie trzeba było długo czekać. Zaczęły krążyć wokół nas, kilka naraz, z różnych stron. Gdy tylko zbliżyły się na tyle, by fotografowanie miało sens, "odezwała" się migawka. Robiliśmy krótkie serie zdjęć, co chwila zmieniając położenie obiektywu i ponownie „łapiąc” ostrość. Zwierzątka co prawda raz na jakiś czas przystawały, aby się rozejrzeć, czasem w stójce, ale były to dosłownie sekundy. Dodatkowo nawet w tym czasie poruszały głową, co mogło prowadzić do jej nieostrości lub zmieniało kontekst portretu. Przy zastosowanej czułości ISO 400 aparat robił zdjęcia z czasami od 1/800 do 1/200, w zależności od miejsca, w którym pozowała wiewiórka. Zwierzęta często podbiegały na wyciągnięcie ręki, co dla mojego syna było bardzo zabawne. Oczywiście w tej odległości nie mieliśmy możliwości fotografowania.

Czas intensywnego fotografowania trwał nie więcej niż 20 minut. Potem zwierzątka zaczęły tracić zainteresowanie. Co jakiś czas pojawiała się jakaś wiewiórka, ale już nie podchodziły tak blisko jak wcześniej, a ich wizyty trwały krócej. Nasze zachowanie sprawiło, że zwierzęta nie podchodziły do kamienia z fotopułapką. Dopiero teraz, gdy przyzwyczały się do obecności fotografów, wróciły do swoich przyzwyczajzeń. Kamień odwiedziły dwa ptaki – bogatka i kos, których jednak nie udało się sfotografować, gdyż usiadły poza zasięgiem G16. Doczekaliśmy się jednak dwóch wiewiórek. Korzystając z wyzwacza na

przemian puszczałyśmy krótkie serie, co moim zdaniem zwiększało szansę zrobienia ostrego zdjęcia. Jedna długa seria niesie ryzyko, że wszystkie zdjęcia będą z ostrością ustawioną na tło. Również zapchanie bufora pamięci może spowodować, że aparat nie wykona zdjęcia w najważniejszym z naszego punktu widzenia momencie.

Godzina w parku była mile spędzonym czasem, który wielokrotnie wspominaliśmy. Ze zdjęć byliśmy zadowoleni. Jesień była widoczna na zdjęciach w swej najpiękniejszej odsłonie, a wiewiórki to bardzo wdzięczne modelki. Oczywiście dużo fotografii było nieudanych. Z fotopułapki tylko kilka serii „złapało” ostrość. Poruszone przez zwierzęta liście ułożyły się również mniej korzystnie niż na początku. Natomiast zdjęcia robione lustrzanką oprócz nieostrości, często były źle skadrowane – najczęściej ucięty był potężny ogon zwierzęcia. Trzeba jednak pamiętać, że naszym celem było wykonanie kilku lub chociaż jednego zdjęcia, które można wysłać na konkurs fotograficzny. Ostatecznie na konkurs wysłaliśmy zdjęcie z innej sesji, ale to już całkiem inna historia.



Zdjęcie wykonane z ukrytego aparatu za pomocą zdalnego wyzwalacza. Perspektywa z poziomu „zero”, trudna do uzyskania w innych warunkach. Szeroki kąt widzenia obiektywu ukazuje wiewiórkę w jej naturalnym środowisku.

Historia jednego zdjęcia

Skok



Wdzięczny temat wiewiórek zainteresował mnie na tyle, że postanowiłem do niego wrócić. Udałem się w to samo miejsce. Tym razem wyposażylem się w canona eos 7 d mark II. Ten model ma dużo bardziej rozbudowaną funkcję ai servo, pozwalającą aparatowi śledzić ruch fotografowanego obiektu. Zamierzałem jej użyć i spróbować wykonać bardziej dynamiczne ujęcia. Zdecydowałem się na tą samą optykę canon 200/2,8. Stałka ogranicza możliwości kadrowania, jednak dużo lepiej współpracuje z autofokusem aparatu. Ponadto podczas dynamicznych zdjęć trudno nadążyć ze zmianą ogniskowej. Lepiej skadrować zdjęcie w postprodukcji lub zdecydować się na portret, gdy obiekt jest zbyt blisko. Dlatego obiektywy tego typu są tak popularne wśród fotografów sportowych.

Aby uzyskać jak najlepszą perspektywę przyjąłem pozycję leżącą. Oczekiwałem wiewiórek uzbrojony w lepszy sprzęt oraz w wiedzę zdobytą podczas poprzedniej sesji. Sposób poruszania się zwierzątek, być może wymuszony przez runo parkowego lasu, w dużej mierze polega na wykonywaniu skoków w przód. I właśnie taką scenę, pokonywania skokiem przeszkody, udało mi się sfotografować. Na zdjęciu wyraźnie widać jak potężne są łapki wiewiórki. Potrzebne jej do wspinaczki po drzewach pazury często umykają naszej uwadze, którą przykuwają sympatyczny pyszczek i wielkie oczy.

Ponownie fotografowałem pod światło. Dość silne światłocienie wymusiły korektę podczas obróbki zdjęcia w komputerze. Na szczęście udało się uniknąć przepaleń w światłach, a cienie lekko rozjaśniłem. Zdjęcie zostało lekko skadrowane. Niestety nie było więcej przestrzeni przed wiewiórką, więc uciąłem przestrzeń za zwierzątkiem. W efekcie ujęcie pokazuje duże zbliżenie, a odbiorca zdjęcia ma wrażenie, że gryzoń wyskoczy z kadru.

Zmiana aparatu pozwoliła na wykonanie całkiem innej fotografii niż podczas pierwszej sesji. Czy lepszej? Osobiście lubię subtelne środowiskowe portrety. Raz jeszcze potwierdziła się teza, że sprzęt jest sprawą drugorzędną. Wystarczy dostosować pomysł na zdjęcie do możliwości technicznych.

Oko w oko z niedźwiedziem



Niedźwiedzie są aktywne przeważnie po zmroku. Zdjęcie zostało wykonane ok. godziny 1.00 w nocy w świetle księżyca.

Podażając tropem niedźwiedzia zawędrowałem w okolice koła podbiegunowego, aby spędzić kilka nocy w towarzystwie największego lądowego drapieżnika. Z Tajgi wróciłem cały, zdrowy oraz bogatszy o cenne doświadczenia i kilka ciekawych zdjęć.

Czy można rano przeciągać się w swoim łóżku, a wieczorem fotografować niedźwiedzie w Tajdze? Przy odpowiedniej logistyce tak. Ale trzeba uważać, bo najmniejszy błąd może wszystko zepsuć. Gdy kolega Piotrek wysadził mnie z samochodu na podziemnym parkingu galerii handlowej połączonej z dworcem PKP w Katowicach, nie spodziewałem się problemów. A jednak o tak wczesnej porze nie działały windy, ani ruchome schody. Objuczony bagażami przemierzałem wielopoziomowy parking, szukając możliwości wyjścia na powierzchnię. Ostatecznie udało mi się przedostać na poziom zerowy galerii, ale i tak musiałem z niej wyjść i obejść ogromny budynek, aby ponownie do niego wejść od strony dworca. Niespodziewany kłopot i wcale nie krótka wycieczka spowodowały przyspieszenie pulsu. Podróż koleją – pierwsza od wielu lat – przebiegła już bez problemów. Również przesiadka do warszawskiej kolejki miejskiej się udała. Tam jednak napotkałem kolejną trudność – gdzie kupić bilet? Nim rozwiązałem kłopotliwą sytuację, już byłem na lotnisku. Czekają mnie dwa loty samolotem. Najpierw do Helsinek, potem długie czekanie na lotnisku i kolejny lot na północ. Następnie transfer samochodem już na miejsce.

Karelia to kraina historyczna, obecnie w obrębie Finlandii, tuż przy granicy z Rosją. Fotografowie się śmieją, że tutejsze niedźwiedzie to uciekinierzy ze wschodu. Stworzono tu warunki pozwalające na fotografowanie niedźwiedzi w warunkach komfortowych dla ludzi i zwierząt. System około dwudziestu czatowni rozmieszczonych wokół kilku jezior pozwala co noc fotografować w innej scenerii. Sesje odbywają się bowiem w nocy, gdy drapieżniki są aktywne. Zresztą na tej szerokości geograficznej, w czerwcu, kiedy odbyłem moją wyprawę, noc to tak naprawdę dwugodzinny zmierzch, a słońce jest tuż za horyzontem. Światła nie ma dużo, ale jest zrównoważone. Księżyc i tafla wody też poprawiają sytuację. W takich warunkach fotografując jasną optyką F 2,8 oraz pełnoklatkowym aparatem (w moim przypadku canon 5d mII) można wykonać ostre zdjęcia.

Czatownie były dopracowane w najdrobniejszych szczegółach. Duża ilość otworów na obiektywy z zaciąganimi na sznurki rękawami, poniżej półka, do której mocowano głowice (czyli bez potrzeby noszenia statywów), powyżej panoramiczna szyba pozwalająca na obserwację terenu – wszystko to zapewniało na komfortową pracę. Dodatkowo chemiczna ubikacja i prycze

pozwalają na zaspokojenie pozostałych potrzeb. W mojej opinii jedynym mankamentem było zbyt wysokie umiejscowienie otworów. Perspektywa, w zależności od ukształtowania terenu przed czatownią, mogłaby być lepsza.



Widok czatowni z zewnątrz oraz wewnątrz. Drugie zdjęcie posiada silne winietowanie, bo szukając możliwości pokazania ciasnego wnętrza użyłem obiektywu sigma 18-50/2,8 dedykowanego do cropa z pełnoklatkowym korpusem canon 5d mark II. Trzeba sobie jakoś radzić.

I jeszcze jedna zastanawiająca rzecz. Jak wiadomo ssaki polegają głównie na węchu. W związku z tym czatownie posiadały pięciometrowe kominy, zapewniające wyciąg i rozproszenie ludzkiego zapachu. Jednocześnie w czatowniach, w których podłoga była wyłożona wykładziną dywanową, obowiązywał zakaz wchodzenia w obuwii. Buty, przeważnie gumiaki, były zostawiane przy wejściu do czatowni, na czymś w rodzaju zadaszzonego ganku. Czy obuwie nie było źródłem zapachu, który mógł alarmować niedźwiedzie o obecności człowieka? Nie umiałem tej sprawy wyjaśnić w rozmowie z miejscowymi. Wydaje mi się, że zwierzęta musiały wyczuwać człowieka. Przecież samo dojście do czatowni, które trwało 20-30 minut w zależności od lokalizacji ukrycia, musiało pozostawić ślad.

Czerwiec to czas, kiedy matki odganiają młode, najczęściej dwuletnie niedźwiadki. Choć to prawie dorosłe osobniki, nie bardzo odnajdują się w nowej, samodzielnej roli władców lasu. Tym bardziej, że duże samce nie pogardzą stosunkowo łatwą zdobyczą. Dlatego na zdjęciach najłatwiej utrwalić właśnie te młode niedźwiedzie, które są bardzo aktywne, często podchodzą nawet do zabudowań ludzkich. Ja również mam na zdjęciach młodziaki, wielkiego niedźwiedzia widziałem tylko raz i to z daleka. Natomiast sytuacja, która najbardziej zapadła mi w pamięć, wiąże się z obecnością obu – młodego i starego. Pierwszy przebiegł przez las w szalonym pędzie, by na koniec, bynajmniej nie zwalniając, wdrapać się na drzewo. Drugiego, który

spowodował ucieczkę nie widziałem, lecz było go słychać. Młody spędził na drzewie co najmniej 20 minut. A schodzenie odbywało się bardzo powoli i ostrożnie, co dało mi dodatkową satysfakcję w postaci ciekawych zdjęć.



Choć widziałem wcześniej w telewizji scenę wspinaczki niedźwiedzia na drzewo, to na żywo i tak dałem się zaskoczyć. Szybkość z jaką to zrobił była niesamowita.

Prawdopodobnie ze względu na obecność niedźwiedzi trudno było zaobserwować inne zwierzęta. Nieliczni szczęściarze widzieli i fotografowali rosomaki. Latały dzięcioły i mewy. Tych ostatnich było nawet dużo. Można też było zauważyć pewną zależność pomiędzy niedźwiedziami i mewami. Obecność ptaków często zdradzała zbliżanie się drapieżnika. Czy mewy liczyły na resztki z królewskiego posiłku? Obecność niedźwiedzi nie była przecież przypadkowa. Były nęcone przez człowieka.

Czy rozmiar infrastruktury oraz ilość fotografów korzystających z oferowanych usług odzierał w tym miejscu fotografię przyrody ze swej dzikości? Trochę tak, ale już po powrocie, nadal interesując się tematem, przekonałem się że nie każda wyprawa do Karelii kończy się sukcesem. Tym bardziej doceniłem dorobek zdjęciowy z mojej wyprawy.



Tajgę zapamiętałem jako gęsty las z przewagą drzew iglastych i sporą dawką niedźwiedzia.

Wspomnę, że znowu dane mi było poznać ciekawych ludzi. Bardzo interesujące rozmowy toczyłem z Marcinem Dobasem. Polski fotograf związany z National Geographic, specjalizuje się w fotografii niedźwiedzi. Karelię odwiedza dwa razy w roku – wiosną i jesienią. Szukając jak najlepszych ujęć udał się również na Kamczatkę. Jego fotograficzne realizacje charakteryzuje rozmach i pomysłowość. Nie waha się szukać swojej własnej drogi, obojętnie czy oznacza to dalekie wyprawy, czy tworzenie na własną rękę specjalnych urządzeń pomagających w uzyskaniu nietypowych ujęć.

W Finlandii poznałem też rodzinę Boduszek z Katowic, czyli Anię, Tomka i ich syna Juliana. Potem jeszcze dwukrotnie skrzyżowały się nasze drogi, każdorazowo w ciekawych okolicznościach. Zaczynali od pieszych wycieczek po górach. Gdy Julian zainteresował się fotografią, a potem również filmem przyrodniczym, zaczęli z nim jeździć po Polsce i Europie w poszukiwaniu jak najlepszych plenerów. Sami nie byli fotografami, ani filmowcami, ale uczestniczyli we wszystkich wyprawach, aby syn mógł realizować swoją pasję.



Niedźwiedź jest największym lądowym drapieżnikiem.



Niedźwiedzie i mewy łączy więź. Na podstawie zachowania ptaków można wnioskować pojawienie się niedźwiedzia.

Historia jednego zdjęcia

Wampir?



Były ptaki, czas na ssaki. Po częściowym zaspokojeniu fascynacji ptakami, skierowałem obiektyw również na ssaki. Wielkie drapieżniki zawsze rozbudzały moją wyobraźnię. Ale są też mniejsze, również uchodzące za groźne. Czy nietoperze naprawdę mają coś wspólnego z wampirami?

Dla zdjęć niedźwiedzi opuściłem granice kraju, leciałem pierwszy raz w życiu samolotem, nie przespałem kilku nocy z rzędu. Do tematu nietoperzy podszedłem całkiem inaczej. Każdej zimy całą rodziną jeździmy na narty, obierając jednak różne kierunki. Gdy po raz kolejny pojechaliśmy do ośrodka narciarskiego Czarna Góra w Siennej, przygotowałem dla rodziny małą niespodziankę. Dwa lata wcześniej wspólnie zwiedzaliśmy Jaskinię Niedźwiedzią, znaną ze znalezisk niedźwiedzia jaskiniowego oraz z pięknych struktur naciekowych. Jaskinia przypomina muzeum przyrodnicze. Wnętrze jest oświetlone, a zwiedza się chodząc po chodnikach i stalowych konstrukcjach.

Tym razem udaliśmy się do Jaskini Radochowskiej. Zimą, czyli poza sezonem, jest ona nieczynna. Również dotarcie do jaskini nieodśnieżaną leśną drogą wymaga dłuższego spaceru. Udało mi się jednak przekonać przewodniczkę, aby

weszła z nami do jaskini. Zejście odbyło się w zaledwie czteroosobowym gronie. Tak mała grupa zapewniła nam rzadko spotykany komfort zwiedzania. Można było spokojnie porozmawiać, pooglądać i porobić zdjęcia. Wykorzystałem okazję fotografując przedstawicieli kilku gatunków nietoperzy zimujących w jaskini. Korzystałem ze światła lampy czołówki zamiast z flesza aparatu, aby nie wybudzić nietoperzy z zimowego snu.

Zdjęcia nie należą może do najlepszych w moim dorobku, ale przypominają mi o naszej przygodzie. Jaskinia okazała się bowiem „dzika”. Kilkukrotnie wymagała czołgania się, aby przejść dalej. Nie było tu pięknych stalaktytów, ale nie było również śladów cywilizacji. Wydarliśmy jaskini jej tajemnice, a spotkanie z nietoperzami było interesującym przeżyciem również dla pozostałych członków mojej rodziny.

A nietoperze – wampiry? Te żyją w krajach tropikalnych. Nasze, rodzime, jak widoczny na zdjęciu nocek duży, wolą polować na robaki. Ewentualnie polują na małe gryzonie.

Na kozice z 600-tką



Kozica tatrzańska w kontrze wschodzącego słońca. Tatrzańskie kozice i świstaki były pierwszymi zwierzętami objętymi ochroną na świecie (ustawa galicyjska z roku 1868).

Poproszony o test obiektywu sigma 150-600mm f/5-6,3 DG OS HSM Contemporary Canon z wypożyczalni Fotoplus, postanowiłem wykorzystać okazję i wykonać plener o którym myślałem już od dawna. Stosunkowo lekka konstrukcja obiektywu (poniżej 2 kg) w połączeniu z dużym przybliżeniem idealnie nadaje się na pieszą wycieczkę w góry. Mój wybór padł na tatrzańskie szlaki w poszukiwaniu kozic górskich. Spodziewałem się, że światła nie zabraknie, co zniweluje największy mankament testowanej optyki, która jest po prostu ciemna. F 6,3 przy ogniskowej 600 mm to ponad działka różnicy w stosunku do preferowanego w fotografii przyrody obiektywu 600/4. Wydawać się może, że nie jest to duża różnica, jednak przy tak długich ogniskowych konieczne jest stosowanie krótkich czasów. I podczas fotografowania, nawet w środku dnia, okazuje się że musimy podnosić czułość ISO. A to potem boli podczas oglądania zdjęć.

Kozice to był dla mnie nowy temat. Zatem dokonując rekonesansu spodziewałem się, że będę robił zdjęcia z dużych odległości. Dlatego podłączyłem do obiektywu cropa – canona Eos 50d. Maksymalna ogniskowa (w tym przypadku ekwiwalent dla pełnej klatki) takiego zestawu to: $600\text{mm} \times 1,6 = 960\text{mm}$. Miałem już kiedyś okazję fotografować podobnym zestawem używając obiektywu innego producenta. Wówczas jakość uzyskanych zdjęć była dla mnie dużym rozczarowaniem. Zatem teraz też nie oczekiwałem zbyt wiele. Z premedytacją fotografowałem przy maksymalnie przymkniętej przysłonie, używałem niskich czułości ISO, a swój zestaw wzbogaciłem o lekki, ale wysoki jednonogi statyw. Musiał być wysoki, bo mam dwa metry wzrostu... Obiektów podpięty do monopodu dosyć wygonie można nosić na ramieniu i właśnie w ten sposób zdecydowałem się wnieść go w Tatry. Znając prognozy pogody (sprawdzałem również zapowiedzi pogody na szczycie), mogłem sobie pozwolić na rezygnację z plecaka. Zapasowe akumulatory do aparatu schowałem w ubraniu, „blisko ciała”, aby w razie potrzeby nie odmówiły współpracy. Bowiem to właśnie akumulatory są najbardziej czułe na niską temperaturę. A ta wahała się czy przekroczyć „zero”. Do kieszeni włożyłem również kompakt, którym miałem się posłużyć do wykonania zdjęć szerokim kątem o charakterze dokumentacyjnym. W ten sposób miałem wolne ręce i mało do noszenia.

Oczywiście konieczne było włożenie ciepłego ubrania. Zdecydowałem się na spodnie narciarskie, ze świadomością, że powrót z pleneru będzie oznaczał przegrzanie. Ważniejsze jednak było dla mnie, aby komfortowo spędzić czas podczas fotografowania. Nieprzemakalne spodnie pozwoliły mi potem siedzieć bezpośrednio na ziemi, trawie i śniegu. Mając w pamięci wcześniejsze doświadczenia ubrałem pod spód dwie pary majtek – slipy i bokserki, aby

polepszyć izolację tej części ciała, która będzie miała kontakt z zimnym podłożem. Górną część ciała ubrałem zdecydowanie lżej, aby nie pocić się podczas wspinaczki. Po namyśle zrezygnowałem z kolców i poprzestałem na wysokim obuwiu trekkingowym. Wiedziałem, że śniegu u góry nie ma dużo, bo widziałem szczyty na kamerkach internetowych. Oczywiście lampa czołówka. I rezerwacja taksówki, która zawiozła mnie do Kuźnic jeszcze przed świtem. Kluczową sprawą było znaleźć się na szlaku jak najwcześniej, wyprzedzając innych turystów. Kozice jesienią pasą się na turniach wokół szlaków turystycznych, dopóki nie spłoszą ich ludzie. Potem przenoszą się w trudno dostępne miejsca skąd obserwują okolicę. Zdjęcia kozic przyklejonych do skał byłyby bardzo ciekawym tematem jednak na początek za zadanie postawiłem sobie po prostu ich wyśledzenie i sfotografowanie. Każdy temat wymaga rozpoznania i dopiero wówczas można dopieszczać kolejne szczegóły takie jak światło czy tło.



Spłoszone stado biegnie w moim kierunku. Połączenie ogniskowej 600mm oraz przesłony 6,3 spowodowało, że nie wszystkie osobniki znalazły się w głębi ostrości.

Kozice znalazłem, nie bały się ani nie wykazywały zainteresowania. Stado liczyło około dwudziestu osobników, w tym kilka młodych. Uwzględniając położenie wschodzącego słońca oraz prawdopodobny ruch zwierząt zszedłem ze szlaku, aby zająć jak najlepszą pozycję. Przemieszczając się mocno pochyłym zboczem unikałem śliskiego, mocno ubitego śniegu. Gdy dotarłem

na wysokość, na której znajdowały się kozice, słońce miałem za sobą. Usiadłem, ustawiłem wysokość statywu i zacząłem śledzić pasące się kozice przez obiektyw. Z wcześniejszych obserwacji dzikich kóz w Hiszpanii miałem pewne oczekiwania co do zachowań stada. W momencie zagrożenia rozproszone osobniki powinny się zbiegać i razem uciekać w przeciwnym kierunku.

I rzeczywiście – scenariusz stał się faktem. Po wykonaniu kilku nieciekawych zdjęć z dużej odległości kozic trzymających głowy nisko podczas jedzenia, nagle coś się stało. W tym dniu telewizja realizowała materiał na temat Tatr. I w powietrzu pojawił się dron. Zaniepokojone zwierzęta zaczęły się rozglądać szukając źródła dźwięku. Gdy pierwsza ruszyła biegiem, pozostałe zaraz się do niej przyłączyły i zaczęły się zbiegać w miejsce, gdzie się przyczaiłem. Wykonałem serię zdjęć licząc, że trafię z ostrością. W wizjerze widziałem wiele małych, szybko zbliżających się obiektów. Wkrótce byłem zmuszony do zmiany ogniskowej. Kozice na chwilę zatrzymały się blisko mnie i ruszyły ponownie znikając za grzbietem góry. Na moje szczęście jeden osobnik wyraźnie zwlekał i powoli gonił za pozostałymi. Była to dla mnie okazja do wykonania ciekawych portretów.

Sesja była krótka, ale bardzo treściwa. Gdyby nie pomoc operatora drona, zasiadka mogłaby trwać znacznie dłużej, tymczasem wróciłem do Zakopanego akurat w porze obiadowej. Od razu przeglądałem też zdjęcia. Mimo użycia statywu i włączenia funkcji stabilizacji obrazu, wiele zdjęć było niestety poruszonych. Również zdjęcia wykonane przy krótkich czasach dalekie były od doskonałości. Obiektyw pokazał swoje słabsze strony. Ostrość i kontrast obrazu wyraźnie ustępowała zdjęciom zrobionym droższą optyką. Szczególnie dotyczyło to najdłuższej ogniskowej, przy ujęciach dużych fragmentów bogatej w szczegóły turni. Znacznie lepiej prezentowały się wykonane z tą samą ogniskową portrety. Nasuwa to moje wątpliwości co do rozdzielczości obiektywu, a przecież podpięty aparat rejestrował obraz z rozdzielczością zaledwie 15 milionów pikseli. Niemniej efekt zdjęciowy i tak zaskoczył mnie pozytywnie. Fotografie wykonane rok wcześniej tamronem o tym samym zakresie ogniskowej były dużo gorsze.

Lekkie wyostrzenie i skontrastowanie kozic podczas edycji w komputerze poprawiło mi humor. Zdjęcia prezentują się ciekawie, akurat na tyle, by zachęcić do następnych prób. Wstępne założenie, że obiektyw sprawdzi się podczas dłuższej pieszej wycieczki, gdy będą potrzebne duże zbliżenia i będzie dużo światła, okazały się prawidłowe. Zaistniała sytuacja z dronem sprawiła, że lepiej spisałaby się inna, krótsza optyka, ale na takie szczęście trudno liczyć.



Jeden osobnik nie dał się ponieść panice i dostojnie maszerował za resztą stada. Można powiedzieć, że pozował do portretu. W odległości poniżej 17 metrów.



Na zdjęciu inny mieszkaniec Tatr - Płochacz halny.

Historia jednego zdjęcia

Snajperka



Podczas fotografowania kozic tatrzańskich kamuflaż nie był mi potrzebny. W trakcie wędrówki turniami ciężko byłoby mi się schować, więc nawet nie próbowałem. Zwierzęta są przyzwyczajone do obecności turystów na szlaku. Oczywiście fotograf poprzez swoje nietypowe zachowanie zawsze może budzić niepokój. Zatrzymuje się, obserwuje, kładzie się na ziemi, schodzi ze szlaku. Wydaje mi się jednak, że akurat kozice zdają sobie sprawę, że człowiek jest wolny, a niektórych przeszkód nie jest w stanie pokonać. To trochę jak z ptakami, które mając możliwość wzbicia się do lotu dopuszczają nas stosunkowo blisko.

Niemniej odpowiedni kamuflaż pomaga w obserwacji i fotografowaniu zwierząt. Przydają się ubrania w kolorystyce zbliżonej do kolorów dominujących w środowisku, w którym zamierzamy się ukryć lub poruszać. W uproszczeniu zielony w lesie, brązowo-żółty nad wodą, biały zimą.

Jeszcze lepsze są ubrania składające się z łąt o zróżnicowanych odcieniach kolorystycznych, różniących się rozmiarami i kształtami. Tak by rozmazać kontury postaci. Snajperki mają dodatkowo frędzle, które jeszcze ten efekt zwiększają. Niestety snajperki mają też ten minus, że łatwo się zaczepiają, na przykład o gałęzie. Powoduje to utrudnione przemieszczanie się i hałas.

A hałasu zdecydowanie chcemy uniknąć. Dlatego ważne jest, żeby ubranie nie szeleściło podczas poruszania się (nie tylko w trakcie chodzenia). Zalecenie to dotyczy nie tylko ubrania, ale całego sprzętu. Mam torbę renomowanej firmy,

z pasem pozwalającym na noszenie jej na biodrach lub brzuchu. W ten sposób mam cały czas dostęp do sprzętu. Niestety plastikowe sprzączki trą o siebie i wydają dość głośne dźwięki. Do lasu jej nie zabieram. Podobnie może być z metalowymi elementami, szczególnie tymi ruchomymi. Potencjalnie źródłem głośnych dźwięków może być statyw, chociażby ze względu na duży rozmiar. Ważny jest też sposób w jaki go nosimy. Noszenie złożonego powoduje konieczność rozkładania go na miejscu, co jest bardzo niekorzystne. Natomiast chodzenie z rozłożonym statywem naraża nas na zahaczanie gałęzi drzew lub krzewów. Wielu fotografów ogranicza zabierany sprzęt do niezbędnego minimum. Nie tylko z powodu ciężaru, ale właśnie by uniknąć hałasu. Istotne, aby wszystko było przygotowane do użycia. Przykładowo lepiej nie zmieniać akumulatora w aparacie w trakcie sesji, choć oczywiście zapasowy warto mieć przy sobie.

Przy okazji polecam długie rękawy. Większość pozycji, w których fotografowałem, powodowała opuszczenie rękawów. I ukazywała się naga skóra. Nie dość, że było widać moje ręce, to jeszcze było mi zimno. Rozwiązaniem mogą być długie rękawiczki. Ważne, by pozwalały na łatwą obsługę aparatu. Popularne bywają takie ze zdejmowanymi końcówkami palców lub mające inny materiał na opuszkach. Zimą rękawiczki muszą być przede wszystkim ciepłe. Ręce i stopy marzną najczęściej.

Przydają się wzmocnione kolana i łokcie. Podczas czołgania ubrania w tych miejscach się przecierają i brudzą. Dlatego najlepiej, żeby materiał w tych miejscach był łatwy w czyszczeniu. Bardzo ważna jest waga sprzętu, toreb, plecaków, ubrania. Podczas wyboru gumiaków w pierwszej kolejności bierze się pod uwagę właśnie wagę. W następnej kolejności ocieplenie i izolację podeszwy. Wreszcie rozmiar. Każdy, kto ubierał i rozbierał kalosze, wie że nie jest to łatwe. A jednak nie warto kupować za dużych rozmiarów. W błocie łatwo można zostawić takie za duże obuwie. Dodatkowe klamry i inne innowacje stosowane przez producentów raczej w tej kwestii nie pomagają.

Komandosi w filmach często mają policzki pomalowane na czarno. Fotografowie przyrody stosują bardziej konwencjonalne metody. Kominiarka, lub maska sprawdzą się lepiej. Warto zwrócić uwagę, by nie ograniczały pola widzenia oraz nie powodowały parowania wizjera aparatu i okularów, jeśli fotograf je nosi. Czapka lub kaptur mogą się przydać podczas opadów, ale ponownie byłoby najlepiej, gdyby nie ograniczały naszego pola widzenia.

Sprzęt też można kamuflować. Szczególnie dotyczy to białej optyki. Przeważnie to obiektyw jest tym elementem, który wystaje z ukrycia. Warto

sprawdzić, czy szkło nie odbija światła. Osłona przeciwsłoneczna powinna rozwiązać problem. Obecnie można korzystać z wielu różnych możliwości przygotowania kamuflażu. Do najbardziej popularnych obiektywów oferowane są gotowe rozwiązania. Również do aparatów można kupić gotowe body. Są fachowcy wykonujący kamuflaż na zamówienie pod konkretny sprzęt, według preferencji fotografa. Wreszcie z dostępnych materiałów można też pokusić się o wykonanie własnoręczne. Zawsze jednak warto dokładnie sprawdzić czy kamuflaż nie powoduje trudności w podpięciu optyki. Nie w kontrolowanych warunkach, ale w ciemności, z utrudnionym dostępem (na przykład gdy obiektyw jest podpięty do statywu, a chcemy zmienić korpus). Czasami prostszym rozwiązaniem jest zastosowanie siatki maskującej lub pokrowca ochronnego w odpowiednich kolorach. Niestety kompromis zawsze grozi ryzykiem – siatka może spaść, a pokrowce zazwyczaj utrudniają dostęp do funkcji. Znam fotografa, który na obiektyw naciąga spodnie...

Gdzie można kupić ubrania z kamuflażem? Najłatwiej w sklepach myśliwskich lub wędkarskich. Czasami takie działy mają sklepy sportowe. W internecie są również wyspecjalizowane witryny z szerokim asortymentem. Często jest to odzież wojskowa.

Na zdjęciu powyżej przygotowuję się do fotografowania rykowiska. Tym razem sesja się nie udała, jelenie tylko podsłuchałem. Jednak dziękuję autorowi zdjęcia, niestety nie znam nazwiska. Wśród moich znajomych zrobiło furorę. Najbardziej podobał mi się komentarz koleżanki z pracy – pora odwiedzić fryzjera!

Żabie Doły



Mewy śmieszki to najliczniej spotykane ptaki na Żabich Dołach.

Fotografowanie przyrody łączę z podróżami w ciekawe miejsca. Jednak jedną miejscówkę mam "pod ręką". Żabie Doły na granicy Chorzowa, Bytomia i Piekar Śląskich, w centrum aglomeracji śląskiej, na terenach ukształtowanych przez przemysł, zdumiewają bogactwem awifauny. Poprzemysłowy krajobraz składa się ze zbiorników wodnych (to dawne osadniki poflotacyjne Zakładów Górniczo-Hutniczych Orzeł Biały), zapadlisk (osiadanie terenu to wynik wydobycia węgla kamiennego przez kopalnię Barbara-Chorzów) oraz hałd (wysypisko odpadów przemysłu wydobywczego). Jednak obecnie jest to Zespół przyrodniczo-krajobrazowy, w którym ornitolodzy oznaczyli ponad sto gatunków ptaków. W tym bąka i bączka oraz kilka gatunków perkozów, kaczek, a nawet błotniaka stawowego. A wszystko to w otoczeniu kominów, nasypów kolejki piaskowej i betonowych bloków będących wspomnieniem dawnej infrastruktury.



W roli głównej perkoz dwuczuby. Lubię kolorystykę tego zdjęcia.

Od kilku lat trwają na tym terenie inwestycje, które mają mu nadać charakter parkowy. Powstają ścieżki rowerowe, ławki, ale też specjalne czatownie, z których można obserwować ptaki. Nie wszystkim się to podoba. Teren tak skutecznie odzyskany przez naturę ponownie jest anektowany przez człowieka. A jednak niektóre zmiany mogą mieć pozytywny wpływ na przyrodę. Zakazano wjazdu samochodami, postawiono nawet szlabany. Wcześniej wędkarze, licznie

korzystający ze stanowisk wokół stawów, podjeżdżali najbliżej jak się tylko dało. Postawiono również tablice edukacyjne, informujące o gatunkach zwierząt występujących na Żabich Dołach.

Ja penetruję tutejsze drogi, ścieżki i groble od lat. Obserwuję zmiany, jakie wprowadza człowiek, ale też te zachodzące w przyrodzie. Na których stawach żerują lub gniazdują ptaki w zależności od poziomu wody. Jakiego gatunku się pojawiają, a które znikają. Jak zwierzęta reagują na obecność człowieka. I jak ludzie reagują na zwierzęta.

Wędkarze tworzą na Żabich Dołach swoisty folklor. Czekać w ukryciu na ptaki, słyszę ich ruchy, przygotowania, wzajemne nawoływania. Rekordziści rozpalają grilla, gdy od wody odbijają się pierwsze promienie słońca. Nie brakuje również biegaczy, spacerowiczów, rodzin z dziećmi i obserwatorów przyrody. Niektórzy wyposażeni są w sprzęt fotograficzny. Przeważnie to amatorzy spragnieni kontaktu z naturą. Staram się z każdym z nich zamienić kilka słów. Zawsze warto wymienić się informacjami na temat zaobserwowanych ptaków. Niezmiennie cieszy mnie również ich radość z pokazywanych na wyświetlaczu aparatu zdjęć. Ja sam przed laty podobnie cieszyłem się z kadrów przelatującej mewy, nie dbając wówczas o perspektywę, światło, kompozycję. Bo tak naprawdę zależało mi na odkrywaniu przyrody.



Zdjęcie czapli siwej w porannej mgle. Taka minimalistyczna forma też ma swój urok.

A jednak w pewnym momencie to już mi nie wystarczało. I właśnie Żabie Doły były scenerią moich pierwszych ambitnych, samodzielnych prób fotograficznych. Dziś ze śmiechem wspominam kilka sytuacji. Zamiast zainwestować w gumiaki lub wodery, szukałem alternatywnego rozwiązania. Czemu mieszczuch wstydzi się gumiaków? Bo kojarzą się z wsią? Ja wołałem wykorzystać worki na śmieci. Obwiązałem je taśmą klejącą wokół kolan i tak przygotowany wszedłem do wody. W planach miałem przedostać się przez tatarak, aby uzyskać lepszy dostęp do fotografowanych ptaków. Powoli przesuwałem się w przód, ostrożnie stawiając nogi. Zapadałem się w miękkim dnie. Bałem się też, że przy gwałtownym ruchu potargam worki. A woda sięgała coraz wyżej. Duma nie pozwalała mi zawrócić. Ostatecznie dotarłem do miejsca, z którego miałem wykonać wymarzone zdjęcia. Ku mojemu rozczarowaniu ptaków nie było. Tymczasem woda dostała się do worków. Fala tworząca się podczas moich ruchów wystarczyła, by woda się przelała. Teraz poruszać się było jeszcze trudniej. A w rękach trzymałem drogi sprzęt fotograficzny, który w tamtym czasie był moim źródłem utrzymania. Z ulgą dotarłem z powrotem do brzegu. Ten eksperyment się nie powiódł. Całe szczęście, że ubrałem stare sportowe obuwie. Buty były nie tylko mokre i brudne, ale też przeraźliwie śmierdziały.

Po trudnych początkach, nauczony doświadczeniem, szukając wskazówek w internecie oraz wyciągając wnioski z plenerów w których uczestniczyłem, moje starania zaczęły przynosić lepsze efekty. Przyjeżdżałem na miejsce, gdy jeszcze było ciemno. Wybierałem miejsca na zasiadkę uwzględniając dobro zwierząt. Aha – kupiłem gumiaki, a potem wodery, ubranie w kolorach maskujących i tak dalej. Ponownie dopisało mi też szczęście. Na dwa sezony na Żabie Doły zawitały czaple siwe i białe. W najlepszym okresie naliczyłem ich jedenaście. Zaobserwowałem kilkukrotnie bączka, a potem go sfotografowałem. Spotkałem perkozy zauszniki o diabelskiej urodzie. Sfotografowałem ciekawe sceny polowania rybitwy rzecznej oraz głowienkę przeganiającą perkoza od swojego gniazda. A także piżmaka, karczownika, zająca i lisa... Długo mógłbym wspominać, gdyż każdy spektakl przyrody na zawsze zapadł mi w pamięć.

Rozpocząłem również ekspansję na inne obszary. Park Śląski, Uroczysko Buczyzna, a nawet osiedlowe stawy – każdy miał coś do zaoferowania. Z ciekawością sprawdzałem miejscówki, o których opowiadali mi inni fotografowie: Łęczczok niedaleko Raciborza czy Zalew Goczałkowicki. Uczestniczyłem w spotkaniach śląskiego okręgu ZPFP. Wysyłałem zdjęcia na konkursy fotograficzne i prezentowałem je na wystawach. Były to okazje do poznania kolejnych miłośników fotografii przyrodniczej. Od nich

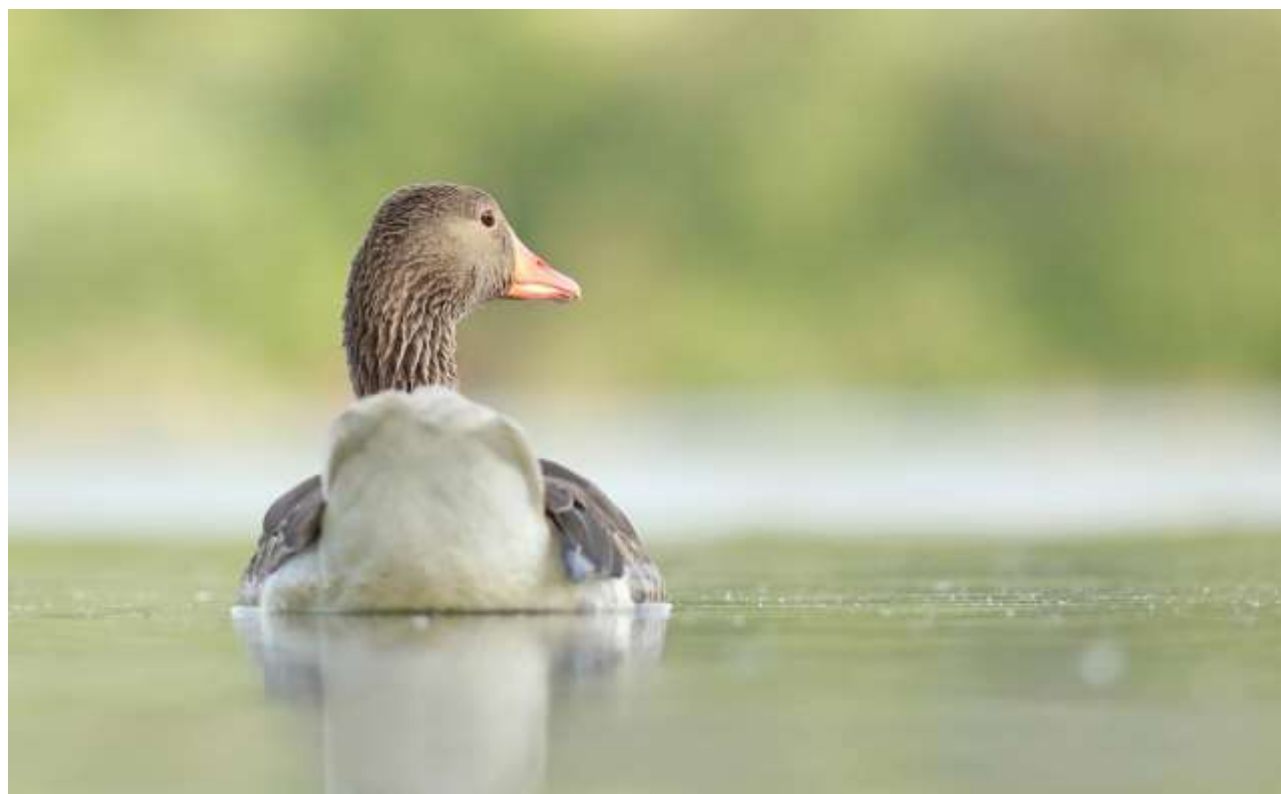
dowiadawałem się więcej i sam dzieliłem się wiedzą. Aż dotarłem do momentu, kiedy zechciałem się podzielić moimi doświadczeniami w książce. Przebyłem długą drogę, która nie prowadziła do konkretnego celu. Ważna była droga sama w sobie, miejsca, które odwiedziłem, poznane osoby, zaobserwowane zwierzęta.



„Mroczna” łyska to jedno ze zdjęć wykonanych z użyciem funkcji live view w celu uzyskania jak najniższej perspektywy.



Imponujący kolorystyką upierzenia kaczor kaczki krzyżówki to często niedoceniany temat fotograficzny.



Gęś gęgawa – czasem nawet ujęcie od tyłu może być udane.



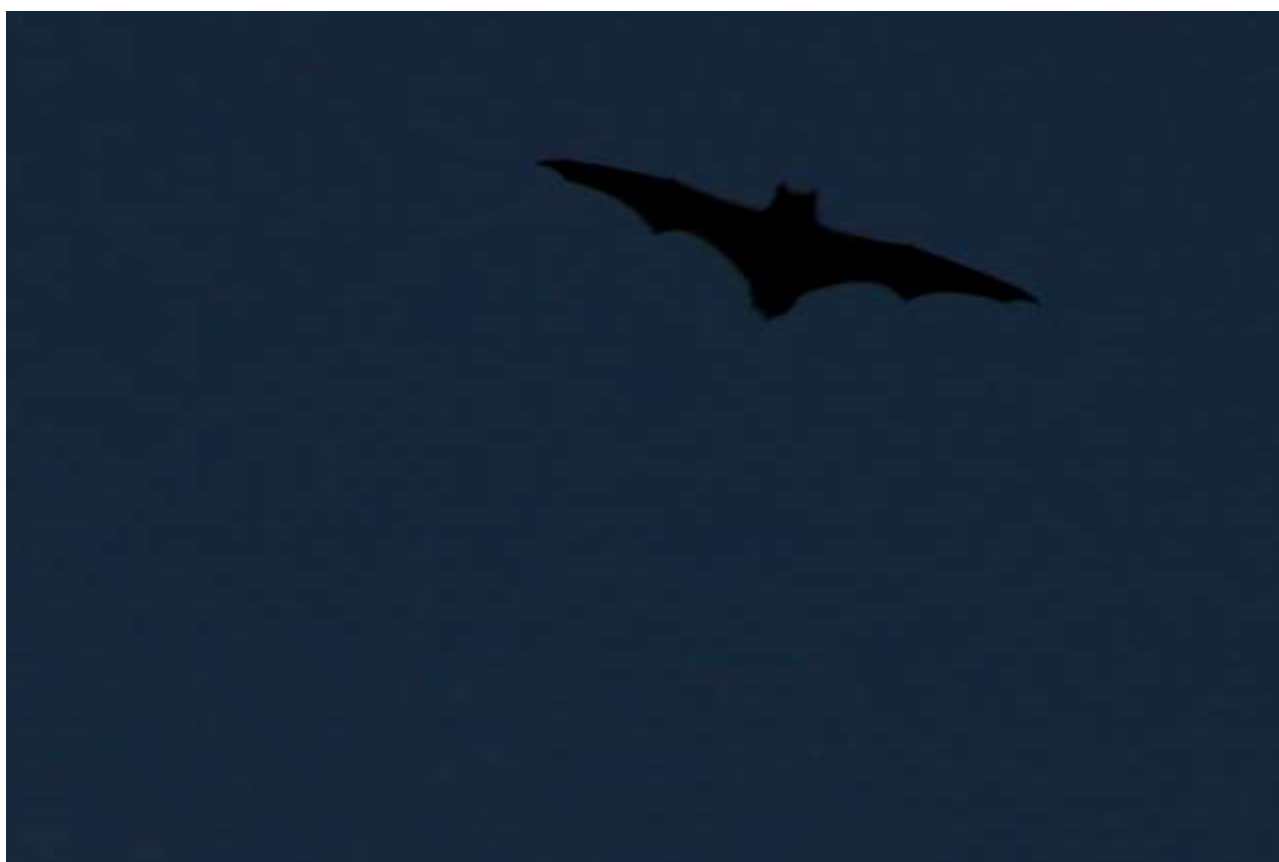
Bączek prowadzi bardzo skryty tryb życia.



Kolonia jaskólek brzegówek założyła gniazda w pokopalnianej hałdzie.



Ciekawe zestawienie czerni i bieli rodzi interesujące skojarzenia.



Nocne spotkanie z nietoperzem.

Historia jednego zdjęcia

Kolory głowienki



Doskonaląc fotograficzne rzemiosło cały czas podnosiłem sobie poprzeczkę. Analizowałem zdjęcia swoje i cudze szukając cech, które sprawiają, że fotografie, oprócz posiadania innych walorów, są też piękne. Szukałem wyznaczników estetyki. Początkowo największe wrażenie robiły na mnie dynamiczne ujęcia zwierząt. Jednak szybko się zorientowałem, że dwa elementy: rozmiar fotografowanych modeli oraz odległe, w miarę jednorodne tło, daje duże możliwości portretowe. Fotografując w mieście, pełnym różnorodnych elementów, kolorów, źródeł światła, charakteryzującym się wielością planów trudno uzyskać podobne efekty.

Jednak rozmyte tło to czasem za mało. Piękne są portrety środowiskowe, prezentujące zwierzęta w ich naturalnym środowisku. Szczególnie, jeśli środowisko samo w sobie jest piękne. Ale takie ujęcia są szczególnie trudne do wykonania. Czy jest możliwe znalezienie jeszcze innego rozwiązania? Gdy tło nie oferuje pięknego widoku, a jednocześnie fotografa nie zadawala całkowite rozmycie dalszych planów? Wymyśliłem rozwiązanie. Od dawna interesowała mnie rola koloru w fotografii. Na ile kolor pozwala wyodrębnić główny motyw? Czy nadmierne nasycenie koloru zmienia percepcję odbiorcy, gdyż

zdjęcie wygląda nienaturalnie? Czy silniej oddziałuje jeden mocny akcent wśród delikatnych odcieni, a może silne kontrastowe zestawienie? Czy można użyć świadomie koloru, tak jak się to robi z głębią ostrości lub oświetleniem? Z tych rozważań stworzyłem koncepcję, w której tło składa się z podobnej kolorystyki jak ubarwienie ptaka. Celem jednak nie było zamaskowanie modelu, ale stworzenie uzupełniających się elementów, które razem będą tworzyły nową jakość estetyczną.

Zdjęcie samicy głowienki zrobione na Żabich Dołach z pewnością nie jest lepsze od tysięcy innych jakie wykonałem przez lata. Jednak było pierwszym, w którym udało mi się wcielić w życie powyższą teorię. Dlatego cenię je mimo upływającego czasu, zmiany wielu poglądów, wykonania lepszych zdjęć. Ma swoją magię i wierzę, że zestawienie większej ilości fotografii o podobnej estetyce być pozwoliłoby mówić o „stylu fotografa”. Dlatego kolekcjonuję kolejne ujęcia i może kiedyś pokażę je wszystkie naraz.

Dolina Górnej Wisły



Ślepowron, charakteryzujący się egzotyczną urodą, dodaje krajobrazowi swoistego uroku.

Dolina Górnej Wisły to obszar obejmujący Kotlinę Oświęcimską wzdłuż górnego biegu najdłuższej polskiej rzeki. W jej skład wchodzi również wiele zbiorników wodnych, w tym Jezioro Goczałkowickie, liczące aż 32 km². Teren jest bardzo ciekawy pod względem przyrodniczym i cieszy się dużą popularnością wśród śląskich fotografów przyrody. Również dlatego, że jest dobrze skomunikowany z aglomeracją. Godzina dojazdu samochodem plus czas na piesze dojście i kamuflaż, pozwala dotrzeć na miejsce przed wschodem Słońca.



Ślepowron macha do mojego obiektywu. Chyba złośliwie, bo umawialiśmy się na inne ujęcie.

Dolina Górnej Wisły nazywana jest Krainą Ślepowrona. Ptak należący do rodziny czapli upodobał sobie te tereny i przyciąga swoją egzotyczną urodą wielu fotografów z całej Polski. W pozostałych regionach kraju występuje sporadycznie. Jesienią opuszcza nasz kraj i udaje się do Afryki równikowej. Wraca na przełomie marca i kwietnia. Ślepowrona wyróżnia intensywnie czerwona tęczówka. Fotografów interesują też jego umiejętności modela. Polując na ryby zastyga na długi czas w jednej pozycji. Pozwala to na wykonanie ujęć przy długich czasach ekspozycji. W ten sposób powstają niezwykle zdjęcia, na których ptak jest ostry, a woda rozmywa się, jak w fotografii krajobrazowej. Szczególnie atrakcyjne są ujęcia na tle

wodospadów. Bieg Wisły jest co prawda uregulowany, ale zarośnięty i poprzecinany licznymi kaskadami. Właśnie w takich miejscach, wśród kamieni często poluje ślepowron. Ja również chcę zrobić takie zdjęcie, mam wybrane miejscówki i kilka prób za sobą, ale na razie muszę się pocieszać, że najlepsze zdjęcie ślepowrona jest jeszcze przede mną.



Zamiast fotografii ślepowrona na tle wodospadu, zrobiłem zdjęcie zimorodka. Też fajnie!

Zdjęcia wykonywane z brzegu często nie mają właściwej perspektywy. Dlatego ujęcie zimorodka na tle wodospadu robiłem siedząc na dnie rzeki ubrany w spodniobuty, kamuflując górną część ciała. W trakcie zasiadki woda zaczęła się przelewać do środka i powoli mokłem. Poprawiłem pozycję, jednak wody, która się wlała, już się nie pozbyłem. Na szczęście dobra izolacja spodniobutów sprawiła, że woda ociepliła się do temperatury ciała i kontynuowałem sesję. Nagrodą za cierpliwość i wytrwałość było nietypowe zdjęcie jednego z najbardziej kolorowych ptaków spotykanych w Polsce.

Zalew Goczałkowicki, zwany również jeziorem, jest w istocie ogromnym zbiornikiem retencyjnym, stworzonym przez zapórę wzniesioną w 1956 roku. Okolica daje okazję do wykonania fotografii innego typu niż portrety zwierząt. Zdjęcia przyrodnicze przedstawiają przeważnie zwierzęta, rośliny lub przyrodę

nieożywioną. Bardzo ciekawą kategorią tematyczną są również wytwory zwierzęcej działalności. Najczęściej są to gniazda budowane przez ptaki. Niektóre to prawdziwe arcydzieła, jak na przykład gniazdo remiza, posiadające podwójne wejście, jedno właściwe i drugie mające zmylić drapieżniki. Gniazdo Bielika jest ogromne, o kilkumetrowej średnicy. Jeszcze większe są żeremia bobrowe. Konstrukcje budowane są z gałęzi, miękkiej roślinności i mułu. Zazwyczaj mają kilka metrów średnicy, ale zdarzają się również kilkusetmetrowe i są to największe budowle wznoszone przez zwierzęta.

Do środka bobry dostają się podwodnym wejściem, co utrudnia zadanie niechcianym gościom. Czasami wejść jest kilka i prowadzą z różnych kierunków. Wewnątrz żeremia utrzymuje się woda, a zwierzęta wnoszą wewnątrz specjalne konstrukcje, dzięki którym nie muszą moknąć. Bobry muszą stale przebudowywać żeremie, gdyż poziom wody często się zmienia. Częściowo zwierzęta są w stanie kontrolować poziom wody budując poniżej żeremia tamy. Budulec, jakim są gałęzie i muł, jest na tyle dobrym izolatorem, że woda wewnątrz żeremi nie zamarza, a bobry przez całą zimę mają możliwość opuszczania swojego domu. Jednocześnie konstrukcja posiada dobrą wentylację. Zimą, gdy bobry znajdują się w środku, nad żeremiami unosi się para.



Żeremie bobrowe na brzegu Zalewu Goczałkowickiego.



Koziołek – Matolek.

Okolice Jeziora Goczałkowickiego kojarzy mi się również z sarnami. Często je tu fotografowałem. Najciekawszą zaobserwowaną sceną było przeganianie młodego koziołka (na zdjęciu powyżej) przez dorosłego kozła. Koziołek koniecznie chciał się przyłączyć, zainteresowany kozą, towarzyszką kozła. Ten ostatni, zdeterminowany, gonił młodego przez około piętnaście minut. Wszystko działo się na jednej dużej łące, gdyż niezrażony koziołek stale wracał. Ja w tym czasie powoli podkradałem się do saren. Niestety były w ciągłym ruchu i niezmiennie się ode mnie oddalały. Kiedy w końcu koziołek odpuścił, skierował się w moją stronę. Skrzętnie wykorzystałem okazję i zrobiłem zgrywasowi serię zdjęć. Obserwując jego zachowanie nie mogłem się oprzeć i w duchu nawałem go Matolkiem. Gdybym dysponował dłużą ogniskową, być może chwalilibym się teraz ciekawymi zdjęciami z pogoni. Z drugiej strony, obciążony wielkim teleobiektywem, być może w ogóle nie miałbym szans zbliżyć się do saren.

Historia jednego zdjęcia

Ogniskowa



Powyższe zdjęcie bączka wykonałem najdłuższą ogniskową, z jaką kiedykolwiek pracowałem. Korpus canon eos 7 d, wyposażony w matrycę o rozmiarze przedłużającym ogniskową x 1,6, podpiąłem do obiektywu canon 500/4 z konwerterem 1,4. Proste działanie matematyczne: $500 \times 1,4 \times 1,6 = 1120 \text{ mm}$, pozwala wyliczyć imponujący ekwiwalent ogniskowej dla małego obrazka.

Fotografowanie z tak długą ogniskową niesie ze sobą szereg ograniczeń. Pierwsza to mobilność, a właściwie jej brak. Obiektyw 500/4 jest duży i ciężki. Kolejny problem to konieczność stosowania krótkich czasów ekspozycji, aby nie poruszyć zdjęcia. Zgodnie ze znaną zasadą „odwrotności” dla uzyskania nieporuszonego zdjęcia wykonywanego z ręki, w opisywanym przypadku musiałbym fotografować z czasem $1/1000$, lub nawet krótszym. Dodatkowo maksymalna przesłona F 5,6 była dużo ciemniejsza niż jestem przyzwyczajony, a nie chciałem używać wysokiej czułości ISO. W związku z tym razem skorzystałem z groundpoda i głowicy typu gimbal, które dawały solidne oparcie.

Długa ogniskowa to również bardzo mała głębia ostrości. Kadr musi być dokładnie przemyślany, decyzja co ma być ostre zdecyduje o późniejszej ocenie zdjęcia. Margines błędu przy ustawianiu ostrości również jest bardzo mały. Fotografowanie na duże odległości łączy się też z pogorszeniem jakości obrazu, co może być między innymi wynikiem drgań rozgrzanego powietrza.

Wykonując prezentowany portret bączka skorzystałem z wizjera kąтового. Nie bardzo lubię tego typu wizjery, gdyż pogarszają znacząco jakość obrazu, a fotografowanie w pochylonej pozycji jest dla mnie mało komfortowe. Kadrowanie z wykorzystaniem ekranu na tylnej ścianie korpusu, szczególnie gdy jest uchylony, jest korzystniejsze również z tego powodu, że łatwo podnieść wzrok, aby zlustrować całą scenę. Można wtedy zauważyć istotne elementy, na przykład drugie zwierzę, które umknęłoby naszej uwadze podczas fotografowania przez wizjer. W tej konkretnej sytuacji wybrałem jednak wizjer kątowy, gdyż czatownia była wyjątkowo mała. Stanowiła jedynie niskie zadaszenie nad dwoma ławeczkami wykonanymi z desek. Na jednej siedziałem, na drugiej przymocowany był sprzęt. Nogi w spodniobutach swobodnie „dynadały” w wodzie.

Wszelkie trudności wynagrodziły ciekawe zdjęcia, a doświadczenie fotografowania z ogniskową powyżej 1000 mm było bardzo ciekawe.

Karmnik



Jesiennie kolory w tle, obiektyw 400/2,8 i ciepłe światło – to recepta na udane zdjęcie.

Fotografowanie przyrody staje się stylem życia. Wpływa na różne aspekty codzienności fotografa. Podczas wyboru miejsca wyjazdu na wakacje stajemy przed dylematem, czy wyjść naprzeciw oczekiwaniom rodziny? A może połączyć wakacje z odwiedzinami ciekawej miejscówki? Próby łączenia jednego z drugim rzadko się udają. Nawet jeśli fotograf wstaje dużo wcześniej i wraca z sesji, zanim rodzina się obudzi, bywa potem po prostu zmęczony. Można też próbować wciągnąć swoich bliskich w przyrodniczą pasję.

Dylematem staje się również zakup samochodu – wysokie podwozie i napęd na cztery koła na pewno się przydadzą. Kupując ciepłą kurtkę wybierasz zielony kolor, bo może się kiedyś przyda podczas pleneru. O ile w ogóle stać Cię na kupowanie nowych rzeczy. Bo przecież sprzęt fotograficzny pochłania Twoje oszczędności. Wymarzony obiektyw może być droższy od samochodu! Zmieniasz pewne nawyki, bo żeby wcześniej wstać, musisz wcześniej iść spać. Oglądasz inne programy w telewizji, odwiedzasz inne sklepy i na bieżąco sprawdzasz prognozę pogody. I tak dalej.

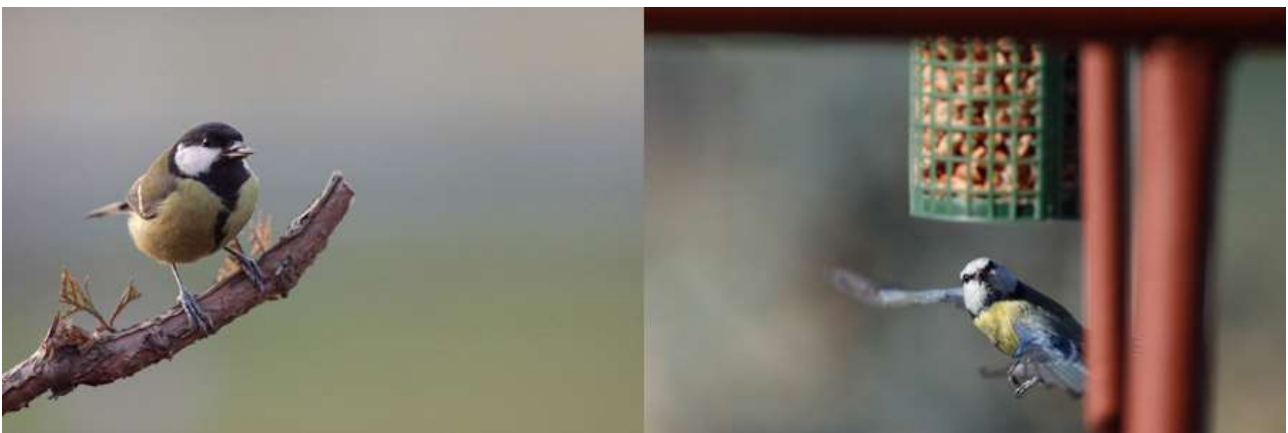


Przykład karmnika wykonanego najmniejszym nakładem sił.

Ale jest pewien sposób na zdjęcia przyrody, który nie wymaga dalekich wyjazdów, inwestowania w drogi sprzęt, nawet wstawania przed świtem. I jest

doskonałą okazją do wprowadzenia w przyrodnicze arkana nowych adeptów. To fotografowanie przy karmniku lub pojniku. Karmnik jest też okazją do wykazania się wyobraźnią. Można tak zaaranżować przestrzeń, żeby uzyskać efekty na jakich nam zależy.

W sprzedaży znajduje się obecnie wiele różnych modeli karmników. Od klasycznych domków po minimalistyczne plastikowe tuby, dzwonki, pyzy lub jednorazowe siatki. Karmnik można też wykonać samemu, nawet korzystając z pustej butelki PET. Lub po prostu rozsypać karmę na ziemi. W przypadku klasycznych karmników należy pamiętać o ich regularnym czyszczeniu. W przeciwnym razie mogą się one stać miejscem, w którym ptaki zarażają się wzajemnie chorobami.



Po prawej mało fotogeniczny karmnik stworzony za biurowym oknem w pracy. Dołożyłem gałąź z mojego ogródka i okazało się, że wygodnie siedząc w cieple można zrobić ładne zdjęcia przez szybę.

Karmnik nie musi być piękny. Fotografować będziemy w taki sposób, by nie było go widać. Ptaki rzadko od razu przylatują po pokarm. Przeważnie najpierw obserwują okolicę, sprawdzając czy jest bezpiecznie. Często też uciekają z karmą w bezpieczniejsze miejsce. Zadaniem fotografa podczas aranżacji przestrzeni wokół karmnika jest stworzyć takie miejsca obserwacji dla ptaków. Będą tam przysiadają, a my robić zdjęcia. Mogą to być fotogeniczne konary przyniesione z lasu. Ale można też wykorzystać gałąź pobliskiego drzewa, na którym ptaki już siadają. Tworząc miejsce naszego ukrycia musimy wówczas wziąć pod uwagę perspektywę z jakiej chcemy fotografować.

Ważne są odległości. Przy karmniku lub pojniku mogą być one naprawdę małe. I w tym momencie problemem może się okazać głębia ostrości. Aby ją ocenić, trzeba brać pod uwagę kilka elementów: wartość przesłony i długość ogniskowej jakich będziemy używać, dystans od obiektywu do ptaków oraz

odległość pomiędzy ptakami a tłem. Właśnie przy karmniku, fotografując najmniejsze ptaki, najłatwiej o pięknie rozmazane tło, tworzące śliczny bokeh. Tym określeniem nazywa się nieostre części kadru. Stopień i rodzaj nieostrości jest charakterystyczny dla każdego obiektywu. Cechą mającą największy wpływ na to, jak wygląda bokeh jest przesłona obiektywu. Im bardziej jest ona zbliżona do koła, a więc składa się z większej ilości elementów, tym lepiej. Jednak tło bez szczegółów niesie pewne ryzyko, bardzo widoczne stają się szum matrycy i ewentualnie przepalone piksele w matrycy. Dlatego fotografowanie przy założeniu pełnego rozmycia tła wymaga użycia niskich czułości matrycy (ISO) lub trudnej edycji zdjęcia w komputerze. Oczywiście w programach edycyjnych są gotowe filtry pozwalające na niwelowanie szumu, jednak problemem jest selekcja części zdjęcia, którą chcemy edytować. Delikatne granice pomiędzy ptasimi piórami i tłem muszą pozostać ostre.

Istotnym elementem będzie kierunek, w którym chcemy robić zdjęcia. Optymalnym rozwiązaniem wydaje się być północ. Przy odpowiedniej aranżacji przestrzeni możemy mieć możliwość fotografowania w kontrze miękkiego światła podczas wschodu i zachodu. A w ciągu dnia słońce będziemy mieć za plecami, co i tak jest korzystniejsze niż wykonywanie zdjęć pod ostre światło. Biorąc pod uwagę małe rozmiary sceny oraz fakt, że karmniki przeważnie stawiamy w sąsiedztwie domów, kierunek może mieć mniejsze znaczenie. Ważniejszy będzie rozkład cieni. Dotyczy to również tła.

Umieszczenie karmnika zależy nie tylko od naszych fotograficznych potrzeb. Żeby ptaki zechciały nas odwiedzić, musimy zadbać, by czuły się bezpieczne. O miejscach obserwacji już pisałem. Wokół karmnika powinno być na tyle dużo wolnej przestrzeni, by łatwo można go było obserwować, ale też by ptaki mogły się z łatwością poderwać się do lotu. Najlepiej by w okolicach karmnika nie kręciły się psy i koty. Oczywiście niepożądany jest duży ruch ludzi. Choć karmione ptaki wyraźnie skracają dystans do człowieka. Miałem nawet okazję karmić sikorki z ręki.

Jak karmić? Dla dobra ptaków – regularnie. Gdy przyzwyczają się do obecności karmy, przeżyją trudne chwile, gdy jej zabraknie. Szczególnie podczas śnieżnej zimy, gdyż wówczas trudno o jedzenie. Trzeba uważać, aby nie używać soli i nie karmić chlebem, który jest ciężkostrawny. Karmy nie powinno być też za wiele. Sprawdzą się nasiona, szczególnie słonecznik, proso, czarnuszka, również płatki owsiane i ryżowe. Amatorów znajdą świeża słonina i orzechy.

A jakich ptaków możemy się spodziewać? Najpewniejsze są sikory modra i bogatka, rzadziej uboga. Często pojawiają się również kosy, wróble, mazurki

i kowaliki. Przy odrobinie szczęścia przylecą dzięcioły, grubodzioby, gile lub raniuszki. Możemy się też spodziewać odwiedzin krukowatych – sójek i srok. Przy leśnych pojnijkach zdarzają się naprawdę ciekawe okazy, na przykład krogulce. A propos pojnika. Jeśli nie traktujemy go jako narzędzia fotograficznego i tak warto postawić go w pobliżu karmnika. Ptaki chętnie z niego skorzystają, żeby się napić lub umyć. A być może nie tylko ptaki.



Kowalik uchwycony w charakterystycznej pozycji do góry nogami.



Kompozycja z sikorką.



Akuku! – w wykonaniu sójki, a nie kukulki.

Historia jednego zdjęcia

Czubatka



Jednym z moich ulubionych zdjęć wykonanych przy karmniku jest zdjęcie czubatki. Nie bez znaczenia jest tu piękna żółta sosenka, na której pozuje. Pamiętam, że przed sesją próbowałem zrosić ją zraszaczem wody dla pogłębienia zimowego efektu. Zraszacz jednak zamarzł i odmówił współpracy. A zdjęcie i tak jest piękne.

Fotografia posiada jednak pewien feler. Kompozycja jest, jakby to powiedzieć, nietypowa. Ptak pozował dość chętnie, ale po swojemu, nie biorąc pod uwagę szeptanych w myślach próśb fotografa. Spośród wykonanych zdjęć wybrałem więc to, na którym czubatka zlewa się z sosenką, tworząc z nią jakby jedną całość. Była to próba ucieczki od klasycznej kompozycji, w której ptak powinien patrzeć w przeciwną stronę.

Moje starania okazały się skuteczne na tyle, że fotografia była prezentowana podczas Poznańskich Dni Fotografii. Tam została zauważona przez redaktora „Ptaków Polski”, popularnego czasopisma dla ptasiarzy. Dostrzegł w niej nowe możliwości. Nawiązał ze mną kontakt i zaproponował okładkę czasopisma. Zdjęcie po skadrowaniu do pionu miało być idealne. Przez lata pracy

fotoreportera uzbierałem około setki okładek. Jednak ta – jako pierwsza przyrodnicza, była mi szczególnie miła. Była też dowodem, że czasem warto dać zdjęciu drugą szansę.



Na plaży



Schowany w piórach dziób biegusa zmiennego wprowadził w błąd nawet jury konkursu fotograficznego. W uzasadnieniu przyznania nagrody opisali ptaka jako kaczkę.

Często z zazdrością spoglądam na mapę, kierując wzrok na północną część naszego kraju. Większość miejsc, które kojarzę z fotografią dzikich zwierząt znajduje się właśnie tam. Puszcza Białowieska, Rozlewisko Warty, Zalew Szczeciński, Biebrza oraz wybrzeże.

Gdy syn był mały, jeździliśmy co roku nad Bałtyk. Duża dawka jodu miała wspomóc odporność dziecka. Ja w trakcie tych wyjazdów korzystałem z okazji i fotografowałem zachody słońca i polowałem z aparatem na biegusy zmienne. Małe ptaszki często się pokazywały na plaży, ale były bardzo ruchliwe. Nie odpuszczałem i ostatecznie miałem dużo zdjęć. W tym ciekawe, na przykład z odbiciem w kałuży. Jednak wszystkie miały jakiś mankament. Albo ptaki się zasłaniały, albo model był odwrócony. Generalnie były to zdjęcia robione ptakom płoszonym lub zaniepokojonym i chyba to był główny powód mojego niezadowolenia. Przecież moim celem nie było przeszkadzanie ptakom.



Biegus nareszcie uchwycony tak jak to sobie zaplanowałem.

Pomoc otrzymałem od Karoliny Myroniuk. To sympatyczna kobieta, mądry człowiek i doskonały fotograf. Pokazała mi miejscówkę znaną chyba wszystkim fotografom na Wybrzeżu. Mam na myśli falochron i plażę przy porcie Świnoujście. Z niewiadomego powodu jest to ulubione miejsce ptaków. Jest ich tu dużo i rzadko są niepokojone przez ludzi. Dojazd jest nieoznaczony,

a okolica jest mało atrakcyjna dla turystów i plażowiczów.

Fotografowanie na plaży przeważnie nie wymaga kamuflażu. Choć korzystanie z siatki maskującej może być pomocne, wymaga jednak umiejętności długiego leżenia bez ruchu. Dlatego czasami korzystniej się nie ukrywać. Ptaki są częściowo przyzwyczajone do obecności ludzi spacerujących wzdłuż brzegu lub wygrzewających się na plaży. Widząc ich przelatują tylko trochę dalej, aby utrzymać dystans. Jeśli fotograf zachowuje cierpliwość, ma dużą szansę na bliski kontakt ze zwierzętami. Jeszcze lepiej spróbować przewidzieć ruch ptaków i ustawić się w taki sposób, aby to one się do nas zbliżały. Generalnie podczas obserwacji zwierząt często można zauważyć pewne schematy, powtarzające się sekwencje zdarzeń. Przykładowo ptaki spłoszone przez spacerowicza odlatują kilkadziesiąt metrów dalej. A potem spacerkiem wracają na miejsce żerowiska. Po kilkunastu minutach płoszy je kolejny człowiek. I sytuacja się powtarza.



Tomek Pyjor podczas fotografowania bernikli kanadyjskiej.

Brak kamuflażu nie oznacza, że nie należy się starannie ubrać. Na plaży może być bardzo gorąco i słonecznie. Łatwo się poparzyć jak podczas opalania. Pomocne będzie fotografowanie rano lub przed zachodem, gdy światło jest miękkie, a upał mniejszy. Wiosną i jesienią może być chłodno. Tym bardziej, że

od morza często mocno wieje. Fotografowanie przy linii wody wiąże się z ryzykiem zmoczenia, również piasek może być wilgotny. Tymczasem zdjęcia ptaków w wodzie lub nad wodą są bardzo atrakcyjne. Morze na zdjęciach wygląda całkiem inaczej niż stawy lub rzeki. Horyzont jest daleko, a woda spieniona, widać dynamikę fal. Również zdjęcia wykonane na piasku mają swój urok. Duże płaszczyzny o zbliżonej kolorystyce pozwalają wykonać fotografie przypominające zimowe ujęcia na śniegu.



Młody batalion sfotografowany na falochronie Portu Morskiego Świnoujście.

Podstawa to zabezpieczenie łokci i kolan, gdyż fotografowanie na plaży oznacza konieczność czołgania się. Również sama czynność robienia zdjęć odbywa się w pozycji leżącej w celu uzyskania jak najlepszej perspektywy. Fotografowie stosują w tym celu różne patenty. Od ochraniaczy wykonywanych samodzielnie, po dedykowane dla sportowców, tapicerów lub brukarzy, które można kupić w sklepie. Statyw przeważnie będzie tylko przeszkadzał. Można fotografować z ręki lub wspomóc się groundpodem, czyli specjalną podstawką, do której montuje się głowicę statywu. W związku z koniecznością czołgania się warto rozważyć użycie lekkiego obiektywu. Zazwyczaj światła jest pod dostatkiem i można rozważyć wykorzystanie ciemniejszego szkła. Głębia ostrości i tak będzie mała.

Bardzo ważna jest dbałość o sprzęt fotograficzny. Oczywiście profesjonalne modele posiadają uszczelnienia, które powinny go zabezpieczyć. Fotografując kitesurfing z wody owijałem aparat folią spożywczą. Utrudniało to obsługę, ale w mniejszym stopniu niż najprostsze obudowy do zdjęć podwodnych, które też wtedy próbowałem wykorzystać. Zresztą oczekując konkretnych rezultatów wszystkie ustawienia miałem wcześniej predefiniowane. Nie zmieniałem też optyki, wszystkie ujęcia wykonywałem zoomem 10-16 mm podpiętym do cropa. Folię jako ochronę przed piaskiem i częściowo przed wodą można stosować również w fotografii przyrody. W tym przypadku będziemy posługiwać się teleobiektywem, ale też nie będziemy go zmieniać w trakcie fotografowania. Dodatkowe zabezpieczenie nie zawsze jest konieczne, natomiast po sesji koniecznie trzeba sprzęt przeczyścić. O ile do czyszczenia przeważnie korzystam z miękkiego pędzla, wydłubując piasek używam również takiego o krótkich, sztywnych włosach. Nadaje się on lepiej do usuwania piasku, który utknął w szczelinach. Jednocześnie taki włos rzadziej się haczy.

To nasuwa ogólne pytanie, jak dbać o sprzęt? Aparaty i obiektywy są czułe na drgania. Dlatego istotne jest, aby podczas transportu jak najbardziej je ograniczyć. Podczas dalekich podróży przydatne są specjalne walizki wyłożone miękką gąbką. Drugim ważnym czynnikiem jest skraplanie się wody podczas wnoszenia aparatu do pomieszczeń, jeśli mamy do czynienia z dużą różnicą temperatur. Najlepiej wówczas zostawić go w zamkniętej torbie do czasu wyrównania się temperatur. Pomocne może być korzystanie z pochłaniaczy wilgoci lub spełniających tą samą rolę torebek z ryżem. Jeśli nosiłem sprzęt bez torby lub plecaka, zawsze miałem przy sobie wystarczająco dużą torbę foliową, do której wkładałem sprzęt przed wejściem do budynku. Zazwyczaj poprzedzałem to wyjęciem karty pamięci, aby nie zwlekać ze rzuceniem zdjęć na komputer. Robienie kopii jest oczywiście podstawą. Sesje przyrodnicze wymagają dużych nakładów czasu i energii, a efekty trudno powtórzyć, dlatego warto zadbać o back up. Często zapisuję zdjęcia na dwóch kartach fotograficznych jednocześnie. Na pierwszej w formacie JPG, na drugiej RAW (ta musi mieć dużo większą pojemność). To również forma zabezpieczenia przed utratą danych. Ale niestety może spowodować spowolnienie aparatu podczas korzystania z długich serii zdjęć.

Doświadczenia fotografowania na polskich plażach kilka lat później bardzo mi się przydały. Zdjęcia robiłem nad Morzem Północnym i moim celem nie były ptaki. Więcej w następnym rozdziale.



Plażowe zdjęcia można wykonywać również nad jeziorami. Przykładem portret sieweczki rzecznej.



Kolejne zdjęcie wykonane na plaży przy jeziorze. Pozują rybitwy rzeczne.

Historia jednego zdjęcia

Ostra pokusa



Fotografowanie małych zwierząt lub tych trochę większych, ale za to bardzo długą ogniskową, powoduje wyodrębnienie głównego bohatera z tła. Dzieje się tak za sprawą małej głębi ostrości. Takie zdjęcia bardzo się podobają. Spotkałem się nawet z komentarzami, że moje fotografie są „jak trójwymiarowe”. Niestety zdarza się, że ujęcie jest zepsute przez jeden mały element, który na rozmazanym tle jest szczególnie widoczny. Przeszkadza.

Czy możemy sobie pozwolić na usunięcie go podczas obróbki zdjęcia w komputerze? Chcąc rzetelnie uwiecznić to, co sami widzieliśmy, oczywiście nie powinniśmy tego robić. W fotografii reporterskiej panuje obecnie moda na zdjęcia wykonywane zza przeszkód. Jeśli bohater zdjęcia znajduje się w tłumie, dobrze jest go pokazać poprzez sylwetki, które „przypadkiem” znalazły się w kadrze. Również zaciśnięta pięść osoby znajdującej się poza kadrem może stworzyć kontekst portretu przedstawiającego kogoś całkiem innego. Ale to są znaczące elementy zdjęcia, przeważnie wynik świadomej decyzji fotografa. A co jeśli mamy w kadrze po prostu niechcianą gałązkę?

Najlepiej wykadrować zdjęcie w taki sposób, by pozbyć się niechcianego elementu. Można też użyć funkcji dostępnych w programie graficznym.

Większość z nich posiada odpowiednik klonowania – funkcji obecnej w Photoshopie. Pozwala ona wybrać część obrazu, który jest kopiowany w nowe miejsce. Można też określić w jakim stopniu kopiowany obraz ma się mieszać z tym, co już jest w tym miejscu widoczne. Brzegi kopiowanego obrazu mogą się bardziej wtapiać w obraz niż środek stempla, przez co efekt będzie wyglądać naturalniej.

Technikę tą używa się najczęściej do niwelowania brzydkich artefaktów pojawiających się w dużych, w miarę jednolitych kolorystycznie fragmentach zdjęcia. Przeważnie jest to niebo lub nieostre tło pozbawione szczegółów. Jednak likwidowanie przepalonych pikseli, plam wynikających z zabrudzenia matrycy lub szumu, to nie to samo, co likwidowanie niechcianego elementu zdjęcia.

Zdjęcie jeża było efektem sesji, jaką odbyłem wspólnie z synem. To najciekawsza z wykonanych przeze mnie fotografii, bo jeż ma wyjątkową minę. Niestety w tle znalazł się patyk, który zepsuł zdjęcie. Podczas edycji przez moment zastanawiałem się, czy podjąć próbę usunięcia gałązki. Chcę wierzyć, że wygrała moja fotograficzna uczciwość. A może byłem zbyt leniwy – akurat ten „artefakt” byłby dość trudny do wyeliminowania. Dlatego tak ważne jest zadbanie o szczegóły podczas robienia zdjęć. Ogranicza to ilość pracy w postedycji i chroni nas przed podejmowaniem trudnych decyzji.

Focze opowieści



Żywiołem fok jest woda, w niej czują się najlepiej. Na lądzie wydają się ociężałe, jednak to wrażenie jest mylne.

Foki to mój ulubiony temat. Zaczęło się od projektu realizowanego wspólnie z Fokarium w Helu, gdzie dokumentowałem pracę wolontariuszy pracujących ze zwierzętami. Zdjęcia wówczas wykonane pobudziły mój apetyt na więcej. Jednak mając na uwadze stan populacji foki szarej w Polsce, zdecydowałem się szukać plenerów za granicą, gdzie mogłem to robić bez dylematów natury etycznej. Ostatecznie po dwóch latach rozeznawania tematu i szukania partnerów do wspólnego wyjazdu, udałem się na wschodnie wybrzeże Anglii w towarzystwie Tomasza Pyjora. Tomka poznałem dwa lata wcześniej, podczas fotografowania polujących bielików nad Zalewem Szczecińskim.

Naszym celem był rezerwat Donna Nook znajdujący się niedaleko miejscowości Grimsby. Jest to słynna miejscówka, gdzie jesienią przypląwa tysiące fok szarych, aby na brzegu urodzić szczenięta. Do Anglii poleciliśmy w drugiej połowie listopada, kiedy to statystycznie rodzi się najwięcej młodych. Widok na miejscu nas nie zaskoczył, widzieliśmy to wcześniej w internecie. Turyści przemierzali ścieżką wzdłuż podwójnego ogrodzenia, za którym leżały foki, przeważnie samice, a obok nich puchate szczenięta. Zaskoczyły mnie natomiast dźwięki wydawane przez młode – skowyt wzywający matki wcale nie należy do radosnych. Nie znając kontekstu można by pomyśleć, że dzieje im się krzywda. W dodatku dźwięki wydobywały się z wielu pyszczków naraz, tworząc nieprzyjemną kakofonię. Foki leżały w trawie i częściowo na piasku. Podejrzewam, że „koryto” pozbawione zieleni ciągnące się wzdłuż ogrodzenia zostało wykonane ludzką ręką, aby foki prezentowały się w sposób bliski ludzkim wyobrażeniom, czyli na piasku. Przy czym mokry, ciemny piasek nie przypominał tego jasnego, sypanego z wakacyjnej plaży.

Tutaj konieczne jest kilka słów na temat tamtejszego krajobrazu, który zasadniczo różni się od Wybrzeża Bałtyckiego. Zaskakują ogromne przestrzenie – strefa zalewowa podczas pływów sięga kilku kilometrów. Od wału przeciwpowodziowego ciągnie się strefa mokradeł przypominających łąki, poprzecinane głębokimi kanałami ze słoną morską wodą. W tej strefie można spotkać liczne ptaki, między innymi czaple, ostrygojady, kaczki i gęsi. Dopiero dalej mamy do czynienia z plażą w klasycznym stylu. Jest ona jednak również bardzo szeroka, a linia wody jest bardzo zmienna (zależnie od tego czy jest przypływ czy odpływ). W trakcie przypływu morze łączy się ze wspomnianymi wcześniej kanałami. Przy wodzie kręcą się biegusy. Uwagę zwracają również duże muszle, charakteryzujące się grubą skorupą, a w związku z tym dużo wytrzymalsze od bałtyckich.



Zaskakujący widok – młode foki w trawie zamiast na piasku.

Foki-matki oddalają się od linii wody chroniąc młode przed przypływem, gdyż szczenięta po prostu by utonęły. Dlatego młode foki znajdują się na trawie, spędzając czas na spaniu, nawoływaniu i ssaniu matek. Można zauważyć duże zaangażowanie matek w opiekę nad młodymi. Polega to na przebywaniu w pobliżu, karmieniu, obwąchiwaniu, głaskaniu, a także na gwałtownych reakcjach jeśli w pobliżu znajdzie się inna foka. Obnażenie kłów i raptowny ruch leniwej zazwyczaj foki w kierunku „gościa” dotyczy zarówno innych samic, samców, a nawet innych szczeniąt. Może dojść do gryzienia i drapania pazurami przednich łap. O ile dorosłe foki szybko uciekają od opiekuńczej matki, o tyle w przypadku szczeniąt wygląda to dość brutalnie. Byłem świadkiem, gdy samotne szczenię, w obronie którego nie stanęła matka, zostało dotkliwie podrapane. Opieka matek trwa jednak zaskakująco krótko. Już po osiemnastu dniach wracają do stada w pobliże morza. Młode podążają za nimi, a w stadzie trzymają się pozostałej młodzieży i nie są już karmione przez matki. Te ostatnie kojarzą się w pary z dominującymi samcami.

Wizyta w Donna Nook z pewnością była bardzo ciekawa, jednak nie dostarczyła okazji do zrobienia ciekawych zdjęć. Oczywiście można było zarejestrować ciekawe zachowania zwierząt, a przy odrobinie szczęścia również moment porodu. W pobliżu fok leżały mokre jeszcze łóżyska, co dowodzi, że narodziny miały miejsce niedawno i właśnie w tym miejscu. Również niektóre

młode miały jeszcze fragmenty pępownicy, a inne nawet krwawe ślady na futerku. Fotografując zza ogrodzenia trudno jednak było o właściwą perspektywę i ładne tło. Sprawę pogarszała wysoka trawa, która tylko miejscami była pognieciona przez foki.

W latach poprzedzających naszą wizytę w rezerwacie fotografowie wykonywali również zdjęcia na plaży. Jednak jak dowiedzieliśmy się na miejscu, obecnie nie było to możliwe. Obostrzenia zostały wprowadzone, gdyż wielu fotografów zachowywało się nieprofesjonalnie, między innymi podchodząc za blisko fok, a nawet głaszcząc młode. Takie szczenię, pachnące człowiekiem było przez matkę odrzucane. Prowadzone statystyki wskazywały zwiększającą się umieralność nowo narodzonych fok. Nie chcąc przyczyniać się do pogorszenia tej statystyki pozostaliśmy za ogrodzeniem.

Drugą komplikacją były podniesione czerwone flagi. Teren rezerwatu jest jednocześnie poligonem RAF-u. Flagi sygnalizowały, że trwają manewry i mogą być zrzucone bomby. Nie dawałem wiary, że może dojść do podobnej sytuacji na terenie rezerwatu, w czasie gdy przebywają tu foki, w dodatku z młodymi. Nie byliśmy też świadkami manewrów, jednak można było zaobserwować nisko latające samoloty bojowe.

Szukając lepszego pleneru udaliśmy się wzdłuż wybrzeża na południe. Przyświecała nam myśl, że spotkamy inne foki – nadzieję dawał nam wcześniejszy research. Szczęście nam dopisało już za pierwszym razem. Wędrówka do linii wody trwała godzinę. Potem szliśmy plażą, aż spotkaliśmy foki. Niestety nierozważnie podeszliśmy za blisko w pozycji stojącej. Spłoszone foki zaczęły uciekać w kierunku morza. Zadziałał tu znany schemat obowiązujący w stadzie – gdy jedna foka rozpoczęła ucieczkę, kolejne ruszyły za nią. Natychmiast zareagowaliśmy kładąc się na piasku. Sytuacja została opanowana. Część stada w ogóle nie ruszyła z miejsca, a jedynie rozglądała się szukając zagrożenia. „Ucieczkowicze” również zatrzymali się na płyciźnie. Gdy wszystko się uspokoiło, zauważyliśmy parę fok, która trzymała się dalej od wody i w pewnej odległości od stada. Doczołgaliśmy się do nich. Okazało się, że podglądamy akt miłosny. Foki podgryzały się, „stawały dęba”, wchodziły jedna na drugą. Wszystko to w przyjemnej kontrze zachodzącego słońca. W końcu samiec wszedł na samicę i zakończył kopulację. Nigdy nie zapomnę pary leżącej obok siebie na piasku odpoczywającej „po wszystkim”. Jego zadowolona mina mówiła wszystko. Wykonane zdjęcia dowodzą, że nie był to efekt mojej wyobraźni oraz że w pewnych sprawach bliżej nam do zwierząt niż zazwyczaj sądzimy. Wycofaliśmy się zadowoleni nie mniej niż przyszły ojciec, z myślą że jeszcze tu wrócimy.



Focze amory miały intensywny przebieg...



...oraz finał, który pokazuje, jak często zachowania zwierząt przypominają nasze, ludzkie.

Kolejne sesje wykonywaliśmy o świcie, korzystając z miękkiego światła o wschodzie Słońca. Na szczęście przed wschodem było już na tyle jasno, że można było bezpiecznie dojść do fok, unikając niebezpiecznych rowów przecinających nasz szlak. Nie udało mi się to raz w drodze powrotnej. Gdy kalosz utknął w miękkim podłożu, zbyt gwałtownie chciałem się uwolnić i wylądowałem w błocie. Na szczęście rano przezornie zapakowałem sprzęt fotograficzny w folię spożywczą. Teraz wystarczyło ją zerwać i obyło się bez szkód. Gorzej podchody do fok zniosły moje kolana. Bojąc się spłoszyć ponownie stado, poruszaliśmy się na czworakach, a następnie czołgając na odcinku około 300 metrów. Mokry piasek jest twardy i szorstki jednocześnie. Specjalnie wzmocnione rękawy kurtki myśliwskiej uchroniły moje łokcie, jednak najbardziej obciążone kolana pokryły się czerwonymi rumieńcami, które goiły się przez kilka tygodni. Tomek korzystał ze specjalnych ochraniaczy przeznaczonych dla zawodników paintballa, jednak jego kolana również nie wyglądały najlepiej. W trakcie czołgania pomocne było stosowanie groundpoda. To przypominające patelnię urządzenie zastępuje klasyczny statyw pozwalając na fotografowanie z niskiego poziomu. Jednocześnie może być popychane po piasku. Poruszając się w ten sposób byliśmy akceptowani przez zwierzęta, które chyba traktowały nas jak „obce foki”. W pozycji leżącej bardziej niż spłoszenia fok należało się obawiać wody, która podczas przypływu może zalać fotografa. Dlatego warto wcześniej sprawdzić w internecie, jak w trakcie sesji fotograficznej będzie zachowywać się morze.

Spodziewając się długich wędrówek i czołgania, na wyprawę wziąłem mój ulubiony zestaw łączący wysoką jakość zdjęć i niską wagę. Groundpod plus głowica typu gimbal już waży niemało. Dlatego używałem cropa canon 7d m II i obiektywu canon EF-200/2,8 L II USM z konwerterem 1,4. Dawało mi to ekwiwalent ogniskowej dla małego obrazka ok. 450/4. Korzystam z konwertera Kenko Pro, który jest czarny, a jednocześnie tańszy oraz mniejszy od oryginału. Moim zdaniem sprawdza się lepiej niż canonowski 1,4 II. Taki zestaw optyczny waży poniżej jednego kilograma! Oczywiście należało się też odpowiednio ubrać, tak aby się nie przegrzać w trakcie marszu i czołgania, ale też nie marznąć podczas fotografowania, leżąc kilka godzin na mokrym piasku, wystawiając się na wiatr. Gumiaki oczywiście obowiązkowe w podmokłym terenie. Stosowaliśmy też kominiarki maskujące, aby nie zdradzały nas jasne, charakterystyczne dla ludzi twarze.



Na zdjęciu Tomek próbujący fotografować i jednocześnie nie rzucać się w oczy. Jak widać z powodzeniem.

Cztery dni fotografowania przełożyło się na 4,5 tysiąca zdjęć. Wśród nich dużo naprawdę ciekawych fotografii. Szczególnie podobają mi się dynamiczne ujęcia foczych zabaw w wodzie. Na lądzie foki są leniwe, rzadko się ruszają i leżą w niewielkich odległościach od siebie. Dlatego dobre zdjęcie wymaga dużej cierpliwości w oczekiwaniu na jakąkolwiek aktywność lub pomysłowości w kadrowaniu. W stadzie, które podchodziliśmy na plaży, szczenięta były już samodzielne, również ich wygląd różnił się od puchatych stworzeń z Donna Nook. Z tej perspektywy doceniliśmy jednak portrety wykonane foczym maluchom w rezerwacie. Wrażenie z bliska robią zaskakująco duże samce (liczą nawet ponad 300 kilogramów), które co jakiś czas udowadniają sobie kto tu rządzi... O intensywności starć świadczą liczne rany na skórze.

Przez cały wyjazd dopisywało nam szczęście. Przede wszystkim sprzyjała piękna pogoda, nie kojarząca się z typowo angielską aurą. Poradziliśmy sobie również z wyspiarską odmiennością, polegającą między innymi na jeździe samochodem po "złej stronie ulicy", nietypowymi gniazdkami prądu, podwójnymi kranami w łazience czy odległościami podanymi w milach. Muszę też przyznać, że bardzo mi zasmakowało tutejsze jedzenie. Czy będzie foczych opowieści ciąg dalszy? Mam już zdjęcia fok w wodzie, na piasku i w trawie. Chcąc zrobić zdjęcia na lodzie i śniegu, będę jednak musiał wybrać inny kierunek wyprawy.



Igraszki w wodzie to ulubione zajęcie fok.



Dominujący samiec nosi ślady licznych walk z innymi samcami.



Latać każdy może!



Jedno z moich ulubionych zdjęć.

Historia jednego zdjęcia

Zafoczeni



Oboje z synem jesteśmy "zafoczeni". Bardzo lubimy foki. Marek był zbyt mały, by towarzyszyć mi podczas wyprawy na wschodnie wybrzeże Anglii i bardzo tego żałował. Jednak trudy fotograficznych zmagañ byłyby dla niego zbyt duże. Dodatkowo dziecko swoim zachowaniem mogłoby zepsuć nam plener, a co ważniejsze, przeszkadzałoby zwierzętom.

Decyzja o dalekim wyjeździe była kompromisem. Fotografie fok marzyły mi się od dawna, ale nie chciałem ryzykować robienia zdjęć w Polsce. Jedynym pewnym miejscem, gdzie mogłem spotkać foki, jest focza łacha u ujścia Wisły. Jednak trudno się tam dostać, najłatwiej łodzią motorową. Populacja foki szarej po naszej stronie Bałtyku jest bardzo skromna i naruszenie ich rewiru nie miałoby sensu. Nie dla zaspokojenia swojej fantazji.

Marzenia o wyjeździe w Arktykę wydawały się trudne do zrealizowania. Taka wyprawa byłaby bardzo kosztowna. Dodatkowo nie mając odpowiedniego wsparcia ze strony doświadczonego przewodnika ryzykowałbym wykonanie zdjęć z daleka i z niekorzystnej perspektywy. W Anglii mogliśmy sobie poradzić samodzielnie.

Foki to drapieżniki. Polują na ryby, małże i skorupiaki. Samce osiągają nawet trzy metry długości i 300 kg wagi. Samice są mniejsze. Posiadają bardzo czułe wąsy. W wodzie czują się tak dobrze, że potrafią spać na jej powierzchni lub nawet pod wodą. Nie przerywając snu potrafią się wynurzyć, aby zaczerpnąć powietrze. Pod wodą potrafią pozostać nawet ponad dwadzieścia minut i nurkować na głębokość około 200 metrów. Dużym problemem fok są pasożyty. Wiele młodych osobników ginie również w sieciach rybackich.

A kiedy Marek będzie miał okazję sfotografować foki? Myślę, że jest to możliwe, nawet bez mojego udziału, o ile marzenie będzie rosło razem z nim.



Modraszka w kąpielu. Na takie zdjęcia liczyłem przed sesją przy pojeźniku.

Powrót do Puszczy Białowieskiej po dziesięciu latach miał całkiem inny smak, zapach i koloryt. W grudniu 2010 roku rozpoczęła się moja przygoda z fotografią przyrodniczą. Przyjechałem do Białowieży z nadzieją sfotografowania bielika. Wówczas myślałem, że to będzie jednorazowa akcja mająca wzbogacić moje portfolio o ten majestatyczny wizerunek. Bielika „upolowałem”, ale nie do końca byłem usatysfakcjonowany jakością zdjęć. Chciałem więcej/lepiej i to uczucie pchało mnie dalej w głąb lasu, na górskie szczyty i rzeczne rozlewiska.



Wśród ptaków odwiedzających pojnik był rudzik.

Pamiętam, że dziesięć lat temu żona nie była zachwycona moim pomysłem, a syn jeszcze nie stał na własnych nogach. Tym razem postanowiłem zabrać ich ze sobą, a 11-letniego już Marka wciągnąć w tak bliską mi tematykę fotografii przyrodniczej. Co prawda miał już za sobą doświadczenie fotografowania w „budzie”, czyli z czatowni, jednak po raz pierwszy miał w tym celu przemierzyć całą Polskę.

Puszcza charakteryzuje się dużą bioróżnorodnością. Pamiętam, że zdarzyło mi się tu kiedyś w ciągu dwóch godzin sfotografować 17 gatunków ptaków. Jednocześnie jest to miejsce nieprzychylnie fotografom. My – szukający światła, tu znajdziemy go niewiele. Majestatyczne drzewa rozchylają swe korony

wysoko ponad naszymi głowami, rzucając cień na wszystko, co poniżej. Jednocześnie w swoich planach musiałem brać pod uwagę możliwości młodego adepta fotografii. Dlatego zdecydowałem się zrezygnować z polowania na symbol tej krainy – żubra widzieliśmy tylko w Pokazowym Rezerwacie. Lipiec nie jest dobrą porą na szukanie dzikich przedstawicieli największego europejskiego ssaka. Nasz wybór padł na czatownię pojnikową. Z pomocą przyszedł znajomy fotograf przyrody, który udostępnił nam kryjówkę. I choć w tym przypadku najlepsze efekty oferuje plener jesienny, z bogatą paletą barw, pojnik dawał nam i tak największe możliwości. Atutem było fotografowanie z bliska, a w związku z tym sprzętem o niewielkich gabarytach. Jednocześnie obostrzenia dotyczące zachowania (cisza, wejście i wyjście z czatowni) nie są tak restrykcyjne jak w przypadku „grubszej zwierzyny”.

Marka wyposażylem w canona eos 5d mark IV z obiektywem EF 200/2,8. Założyłem, że łatwiej będzie mu operować małą stałą, o nieco szerszym polu widzenia, a pełnoklatkowa matryca pozwoli na późniejsze wykadrowanie. Ja musiałem się zadowolić aparatem canon eos 7d mark II z obiektywem EF 70-200/2,8 L IS II USM. Celem były zdjęcia ptaków w kąpielu oraz malowniczych portretów z odbiciem w wodzie.

Pozwoliliśmy sobie wejść do czatowni dopiero o 6.30 rano. Przez trzy godziny ptaki oraz wiewiórka były aktywne. Pozostaliśmy na posterunku jeszcze przez kolejne dwie godziny, ale ruch był już już mniej niż skromny. W trudnej próbie wytrwałości Markowi pomógł telefon (oczywiście z wyłączonym dźwiękiem). Mnie przypadła rola obserwatora mającego wznieść alarm, ilekroć przy pojniku zauważę ruch. Naszą uwagę kolejno przykuwały dzieciół duży, wiewiórka, grubodziób, sikorki modra, bogatka i uboga, kos, rudzik, czyż, zięba, kowalik oraz niezidentyfikowany podlotek. Sceneria pozostawała w cieniu, jednak tło było naświetlone, co wymuszało dodatnią kompensację ekspozycji i korektę balansu bieli. Mimo użycia ISO 1600 czasy naświetlania oscylowały pomiędzy 1/250 a 1/400. Co prawda fotografując z głowic przymocowanych do półki wewnątrz czatowni moglibyśmy pokusić się o czasy dłuższe niż 1/100, jednak drobne ptaki są bardzo szybkie, szczególnie w kąpielu, więc chciałem dać nam szansę na uchwycenie tych ulotnych momentów.

Co do samej czatowni, nie posiadała ona tak charakterystycznych „dziur”, przez które wystawia się obiektywy. Fotografowaliśmy przez szyby. Wnętrze pomieszczenia było wyciemnione, aby uniknąć odbić w szklanej powierzchni okienek. System ten z pewnością miał wpływ na jakość zdjęć, jednak operując teleobiektywami o małej głębi ostrości minimalizowaliśmy ewentualny wpływ dodatkowego szkła na zdjęcia.

Wspólne fotografowanie przyrody z pewnością zapamiętamy na zawsze, a do zdjęć będziemy wracać z nostalgią. Czy udało mi się zaszczepić Markowi zainteresowanie odkrywaniem zagadek natury? Nie jestem pewien, odpowiedź przyniosą nasze kolejne przygody.



Młody grubodziób sprawdza, czy dobrze dziś wygląda.

Historia jednego zdjęcia

Dzięcioł Marka



W Puszczy Białowieskiej Marek wykonał kilka ciekawych zdjęć. Jednak nadal za najlepszą fotografię uznajemy ujęcie dzięcioła dużego wykonane przy karmniku w Chorzowie. Piękne tło jest powodem mojej zazdrości. Fotografowaliśmy wówczas na zmianę tym samym sprzętem i obok dumy z syna pamiętam również żal, że ja nie mogłem zrobić podobnego zdjęcia. Fotografia została też doceniona w polskich i międzynarodowych konkursach fotograficznych, oczywiście w odpowiedniej kategorii wiekowej. Gdyby nie ucięty ogon, dzięcioł może miałby szansę rywalizować nawet ze zdjęciami dorosłych fotografów...

Jak można pomóc siedmiolatkowi wykonać takie zdjęcie? Zaczęliśmy od ćwiczeń w domu. Pokazałem Markowi jak obsługiwać aparat z teleobiektywem na statywie. Miał tylko mierzyć we mnie i naciskać spust migawki. Najpierw stałem w miejscu, potem zacząłem przesuwając się w bok. Gdy nabrał wprawy udaliśmy się do chatowni. Za pierwszym razem wybraliśmy mniejszy obiektyw, za drugim razem była to już czterystka canona ze światłem 2,8. Wybrałem dzień z ładną słoneczną pogodą. Na miejscu ustawiłem parametry ekspozycji

w trybie manualnym. Ostrość mierzył tylko centralny punkt, włączyłem też tryb zdjęć seryjnych. Fotografie zapisywane były w plikach RAW z przestrzenią barwną Adobe RGB. Odległość od ptaków pozostawiała margines na późniejsze skadrowanie. Oczywiście liczyłem się z koniecznością późniejszej edycji zdjęć. Zadanie Marka ponownie polegało na wymierzeniu i naciśnięciu guzika.

Udało się nie tylko z dzieciołem, ale akurat wtedy wszystkie elementy złożyły się w udaną całość. Obecnie zdjęcie wydrukowane w powiększeniu wisi nad łóżkiem w sypialni Marka. I przypomina mu o pięknie natury.

Wodne portrety



Portret kaczora Karolinki, w niesamowitej aurze światła odbitego od pożółkłych traw na brzegu oraz w wodzie i rozmytego dzięki małej głębi ostrości.

Na zdjęciach prezentowanych w kilku poprzednich rozdziałach znajdowało się dużo wody. Nie jest to przypadek. Szukając ciekawych kadrów przyrody można zmieniać perspektywę, szukać ciekawego tła, polować na rzadkie gatunki lub ciekawe zachowania zwierząt. Natomiast patrząc na sprawę pod kątem czysto fotograficznych możliwości, woda daje ich najwięcej. Odbicia w niezmąconej tafli, rozbryzgi i bliki światła, lodowe sopte, śnieżne kształty formowane przez mróz i wiatr, czy wreszcie niemal studyjne warunki w śnieżnym puchu lub klimatyczne obrazy w porannej mgle. Oczywiście są jeszcze krople na włosach, lub spadające z dziobu, portrety ozdobione wielkimi płatkami śniegu lub rozmytymi smugami deszczu, czy wreszcie mokre zwierzęta budzące nasz uśmiech. Od fotografa zależy jak wodę wykorzysta, czy będzie mroził rozbryzgi wodospadu, czy stosując długie czasy naświetlania rozmyje wartki nurt.



Symetria natury. Na zdjęciu udało się zachować niemal niezmącone odbicie ptaka mimo dynamicznej akcji polowania.



Krajobraz z niedźwiedziem w wykonany w Tajdze.



„Polowanie na radar” – fala stworzona przez motorówkę skomponowana z lecącym ptakiem.



Kaczka w stójce. Zieleń brzegu zlewa się z odbiciem w wodzie, mała głębia ostrości powoduje, że brzeg i woda tworzą jednolite tło.



Portret z kropelką.



Czasami woda, choć niewidoczna i tak jest cichym bohaterem zdjęcia. Mokry błyszczak z rodziny szpakowatych wygląda prześmiesznie. Zdjęcie wykonane w Kenii.

Stawy często są miejscem pierwszych prób fotografów amatorów, którzy chcą spróbować sił w fotografii przyrody. Nawet w zbiornikach mieszczących się na terenach parkowych, w środku miasta, można spotkać wiele gatunków ptaków. Ptaki wodne są większe od drobnicy chowającej się wśród drzew. Ponadto, jak już wcześniej wspominałem, naturalna bariera tworzona przez wodę powoduje, że są mniej płochliwe. To jeszcze jeden argument za tym, aby docenić rolę wody w fotografii dzikich zwierząt.

Z pewnością ciekawe tematy fotograficzne czekają pod powierzchnią wody. Ryby na tle rafy koralowej, raki w zamulonej wodzie, foki płynące pod lodem, czy wreszcie nurkujący słoń. To obrazy obecne w otaczającej nas ikonosferze. Czy będę miał kiedyś okazję stworzyć podobne? W tej chwili wydaje się to nierealne, ale przecież kilkanaście lat temu podobnie myślałem o zdjęciach niedźwiedzi lub wilków.

Historia jednego zdjęcia

Słodziak



Szczególną wrażliwość wśród odbiorców moich zdjęć wzbudzają „słodziaki”, maluchy, czyli po prostu młode zwierzęta. Jest to oczywiście zjawisko powszechne i nie dotyczy tylko moich zdjęć. Z punktu widzenia fotografa bywa nawet irytujące, gdy zdjęcie malucha wzbudza większy podziw, niż fotografia lepsza warsztatowo, wymagająca więcej pracy, droższego sprzętu, lepszej znajomości tematu (szczególnie, gdy zdjęcie słodziaka wykonał inny fotograf...). Młody łabędź wśród rozmytych traw, mam nadzieję, łączy słodką treść z rzetelnym fotograficznym rzemiosłem. Okoliczności powstania tego ujęcia pamiętam bardzo dobrze. Fotografowaliśmy razem z synem na stawie Amelung w Chorzowie. Zajęty robieniem zdjęć nagle poczułem uderzenia w stopę. To dorosły łabędź dziobał mój but. Wprawilo to w niezwykłą wesołość mojego syna, który długo potem jeszcze wspominał to wydarzenie.

Przy okazji rozważań na temat słodziaków od razu przypominają mi się również portrety młodych fok, wykonanych w Donna Nook. Z powodu ograniczeń, które opisałem w rozdziale „Focze opowieści”, trudno było mi wykonać zdjęcia z właściwej perspektywy. Natomiast focze maluchy rzeczywiście były przesłódki, tak jak ten poniżej.



Z wizytą u Pana Chrypki



Zdjęcie jak z leśnego snu.

To było jak prawdziwy leśny sen. Koniec świata głęboko w lesie, gęste mgły i dźwięki rykowiska.

Rykowisko – okres godowy jeleni szlachetnych, to temat wyjątkowo atrakcyjny fotograficznie, ale też bardzo trudny. Oko, a częściej ucho, cieszą ciekawe sceny przyrody, fotografie tylko się zdarzają. Nie sposób przewidzieć co się wydarzy, tym trudniej zaaranżować wymarzoną scenerię zdjęć (tło, światło, odległość etc.). Szukając miejsca, gdzie będę mógł zwiększyć swoje szanse na udany plener, udałem się na Kaszuby, do leśniczówki o wdzięcznej nazwie Leśny Sen. Na północy Polski rykowisko wcześniej się zaczyna i trwa dłużej (sierpień – październik). Ja wybrałem termin w okolicach 20 września, kiedy powinien nastąpić szczyt jelenich amorów.

Okolica okazała się bardzo bogata w zwierzynę. Jeleni było bardzo dużo, po okolicy kręciła się również kulawa wadera. Wilka widziałem tylko przez chwilę, jelenie zobaczyć było dużo łatwiej. Jednak ze względu na rozległość terenu i rozmiar łąk były to obserwacje fotograficznie bezproduktywne. By dostać się bliżej, należało wybrać jedną z dwóch dostępnych strategii.

Podchody, polegające na skradaniu się przez las w maskującym stroju lub czekanie w czatowni. Pierwsza metoda wymagała koordynacji działań z licznymi myśliwymi, gdyż nałożenie się miejscówek wiązałoby się z dużym ryzykiem. Dobrym pomysłem było ubranie pomarańczowej, zatem rzucającej się w oczy kurtki. Jak to pogodzić z maskowaniem się przed jeleniami? Otóż nie płoszy ich kolor, ważniejsze, aby kontury sylwetki były rozmazane. Stąd popularność „snajperek” pokrytych licznymi frędzlami. Mankamentem takiego stroju podczas podchodu jest to, że frędzle czepiają się roślinności. Należy pamiętać, żeby ubranie nie szeleściło, a twarz i dłonie były zakryte (maska lub kominiarka, rękawiczki). W tej ostatniej kwestii musiałem improwizować, bo rękawic zapomniałem w domu. Skarpetki na rękach? Nie ma sprawy, nawet z obsługą aparatu nie było problemu. Gorzej, gdy oparłem się podczas wstawania z ziemi. Skarpeta natychmiast przemokła. Wszechobecna wilgoć – rosa, mżawka, strumienie, przez które trzeba przejść, lub w których się stoi czekając na zwierzęta – też mają wpływ na wybór ubrania. Bez woderów się nie obeszło. Konieczne jest noszenie ze sobą statywu. Większość okazji do wykonania zdjęć wymaga użycia stosunkowo długich czasów, co w połączeniu z długimi ogniskowymi powoduje, że łatwo o poruszenie zdjęcia. Podchody wymagają wcześniejszego sprawdzenia pogody, która ma wpływ nie tylko na ubranie, ale też na kierunek przemieszczania się. Ssaki polegają głównie na węchu, więc udane podejście musi nastąpić od zawiętrznej. Ogólnie jest to bardzo trudna metoda, wykonywana bez odpowiedniej wiedzy i znajomości

terenu kończy się jedynie spłoszeniem zwierząt.



Łanie również mogą stworzyć ciekawy spektakl.

Czatownia wydaje się nudna. Nie ma dreszczyku emocji, jaki towarzyszy nocnemu przejściu przez las, bez latarki, przy akompaniamencie byczych ryków i odgłosach zderzających się poroży. Podejście odbywa się w środku dnia, gdy jelenie przebywają w lesie. Najlepiej, tak jak ja to zrobiłem, spędzić w niej całą noc. Poranek i wieczór dają szansę na fotografowanie, o ile jelenie nie zmienią trasy. Czatownia może być umiejscowiona na środku łąki, pozwalając na fotografowanie we wszystkich kierunkach. Kwestię ludzkiego zapachu możemy przy tej okazji zaniedbać. Problemem może za to być termika. W nocy, przy gruncie były przymrozki. Mata, śpiwór i kilka warstw odzieży rozwiązały sprawę. Trudna była tylko zmiana pozycji. Niełatwo było trafić w już wygrzane miejsce, a nowe ogrzewało się przez kilka minut.

To właśnie z czatowni udało mi się sfotografować Pana Chrypkę. Najbardziej dominujący byk w okolicy charakteryzuje się wyjątkowo głęboką barwą głosu. Pan Chrypka pojawia się na tych terenach tylko podczas rykowiska. To typowe zachowanie byków, które często w poszukiwaniu łań zmieniają terytorium. Choć moja obserwacja Pana Chrypki była pierwszą w tym sezonie, od razu było widać, że nie tracił czasu. Towarzyszyła mu chmara trzydziestu pięciu łań

plus cielaki. Nie jest to żaden rekord, ale zapewniam, że robi wrażenie.

Byki podczas rui ociekają testosteronem. Są bardzo aktywne, stale przemieszczają się zaganiając łanie, rycząc, stając w szranki z rywalami. Przez okres kilku tygodni nie jedzą, tylko piją. W związku z tym zauważalnie tracą na wadze. W tym czasie nie są też zbyt ostrożne, co sprzyja fotografom. Łanie przeciwnie, są spokojne, większość czasu spędzają pasąc się i niemal nie zwracając uwagi na samcze popisy. Jednocześnie jednak zachowują się bardzo ostrożnie. Gdy bykowi towarzyszy duża chmara podejście jeleni staje się jeszcze trudniejsze. Wystarczy, że jedna z łań się spłoszy, natychmiast pozostałe podążają za nią, nawet jeśli nie wiedzą, co jest powodem ucieczki.



Rywal Pana Chrypki. Do pojedynku tym razem nie doszło, byk opuścił łękę szukając szczęścia gdzie indziej.

Fotografowie przyrody marzą o scenach walk i kopulacji. Mile widziana jest kontra wschodu albo zachodu słońca. Gdy okazji do takich zdjęć brakuje, trzeba wycisnąć ile się da z tego, co jest. Łąki poprzecinane strumieniami rano i wieczorem pokrywają mgły. Umiejętnie wykorzystane pozwalają na próby bardziej artystycznych ujęć, minimalistycznych w formie, opartych na kompozycji kadru. Takich jak z leśnego snu.

Historia jednego zdjęcia

Pan Chrypka



W pracy fotoreportera ważne są „ostre łokcie”. Pracując w tłoku fotografów próbujących złapać jak najlepsze ujęcie, czasami trzeba się przepchnąć. Po kilku latach bycia przepychanym, również przyjąłem ten styl pracy. W fotografii przyrodniczej umiejętność ta przydała mi się tylko raz i to nie dosłownie. O prawo nocowania w chatowni i tym samym zwiększenie szansy na sfotografowanie Pana Chrypki, musiałem się zmierzyć z Ryszardem Warchołem. Taki był szorstki początek naszej znajomości.

Byłem twardy i nieustępliwy, a efektem są zdjęcia jak to powyżej. A Ryszard to chyba najbarwniejsza osobowość z jaką miałem do czynienia na przyrodniczym gruncie. Nazwisko nie jest zbyt rozpoznawalne w środowisku, a jednak sława go wyprzedza. Podczas warsztatów u Piotra Chary nasłuchiwałem się opowieści o fotografii z Krakowa, z którym Piotr pływał zimą w stroju nurka, wśród pękającej kry. Obaj narażali życie i wniosek z opowieści był jeden – nigdy więcej. Natomiast Jarosław Jakóbczak opowiadał mi jako przestrogę historię fotografa z Krakowa, który chciał zrobić zdjęcie biegnącego żubra. Fakt, że

żubr szarżował prosto na fotografa nie zrobił na nim większego wrażenia. Do czasu, gdy pędząca krowa była już stanowczo za blisko. Ucieczka, podjęta w rekordowym tempie, choć udana, była przykładem niepotrzebnej brawury. W poczuciu sprawiedliwości muszę dodać, że Ryszard to nie tylko ryzykant, ale i dusza towarzystwa, kompan na którego można liczyć. Nie sposób się z nim nudzić...

Knyszyńskie rozważania



Karawana na Saharze lub bizony na prerii. Takie skojarzenia budzą zdjęcia żubrów wykonywane w Puszczy Knyszyńskiej.

Jaką rolę w fotografii przyrody pełni szczęście? Czy naprawdę cierpliwość i konsekwencja są najważniejsze? Odpowiedzi na te pytania dostarczyła mi wyprawa do Puszczy Knyszyńskiej.

Żubry z racji swej imponującej postury robią duże wrażenie. Jednak jako temat fotograficzny długo nie przyciągały mojej uwagi. Najpierw goniłem za ptakami, a potem za czteronogimi drapieżnikami. Jednak, gdy zobaczyłem zdjęcia jakie robią Michał Kość i Jarosław Jakóbczak, od razu wiedziałem, że „Ja też tak chcę!”. Większość zdjęć żubrów wykonywanych jest w lesie lub na tle ściany lasu. Zdjęcia robione w Puszczy Knyszyńskiej przywodzą na myśl raczej bizona na prerii.

Już niemal tradycyjnie przymiarki do pleneru zajęły mi dwa lata. Kontakt z wymienionymi fotografami pozwolił mi ustalić, gdzie powstają ich niezwykle fotografie. Korzystając z okazji raz jeszcze dziękuję im za udzieloną pomoc. Aby wykonać wymarzone zdjęcia czekałem na splot kilku sprzyjających okoliczności. Jak zwykle ograniczała mnie moja dyspozycyjność, ale również wyjątkowo słabe zimy. A żubry najlepiej prezentują się zimą. Niska temperatura i śnieg powodują, że częściej można je spotkać na otwartym terenie, są też bardziej aktywne. Kontrast ciemnych sylwetek i jasnego śniegu jest bardzo fotogeniczny, tym bardziej, że często są pokryte śniegiem i efektownie go z siebie strząsają.

Ostatecznie o terminie wyjazdu zdecydowały względy zawodowe. Wymuszona przerwa w pracy zmobilizowała mnie do podjęcia dawno planowanej próby. Umówiłem się z Tomkiem Pyjorem, wielokrotnym partnerem moich wypraw fotograficznych, na kilkudniowy plener. Prognoza pogody była zachęcająca. Co prawda śniegu nie należało się spodziewać, jednak ujemna temperatura oraz słoneczna aura były zapowiedzią „ciekawych okoliczności przyrody”.

Dzień wyjazdu powitał mnie wspaniałym wschodem słońca. Na tyle efektownym, że kusiło mnie, aby zjechać z autostrady i odwiedzić Kopiec Wyzwolenia w Piekarach Śląskich, doskonałą miejscówkę do fotografowania śląskiego krajobrazu. Ostatecznie mając przed sobą trasę liczącą ponad 550 km zdecydowałem się nie tracić czasu. Niedługo miało się okazać, że była to decyzja kluczowa. Korzystając z umiarkowanego ruchu i dobrej pogody, dotarłem na miejsce w niewiele ponad sześć godzin i zameldowałem się w Krynkach już o 13.30. Tomek miał dojechać dopiero wieczorem. Niestety najświeższe prognozy dotyczące pogody w kolejnych dniach zmieniły się zdecydowanie na niekorzyść. Stąd moja spontaniczna decyzja o samodzielnym poszukiwaniu żubrów jeszcze tego samego dnia. Wykonałem telefony do

żubrzych specjalistów, jednak żaden akurat nie miał potrzebnych mi informacji – gdzie znaleźć króla puszczy w półtorej godziny. Wobec tego przygotowałem sprzęt, przewiesiłem przez oparcie pasażera w samochodzie, aby mieć go pod ręką i udałem się w dalszą podróż w kierunku miejscówek, o których dowiedziałem się podczas przygotowań.

I tu zaczyna się rola szczęścia. Na żubry trafiłem, zapozowały w odpowiednim miejscu, niebo zaczerwieniło się tuż nad horyzontem – i to wystarczyło. Wykorzystałem swoje pięć minut całkowicie improwizując.

Następnego dnia szczęście już nie dopisało. Przynajmniej w zakresie pogody. Było pochmurnie i wietrznie. Dawno mnie tak nie przewiało. Wielogodzinna sesja przyniosła ponad tysiąc zdjęć. Jednak trudno doszukiwać się wśród nich perełek. Ogromne, liczące ponad sto sztuk stado trzymało się razem, co znacząco utrudniało kompozycję. Pola rzepaku nie stanowiły atrakcyjnej scenerii o tej porze roku. Również światła było mało. Sprawdzana na telefonie prognoza pogody nie napawała optymizmem.



Walka tytanów.

A jednak to właśnie w tych okolicznościach byliśmy świadkami sceny, którą zapamiętam do końca życia. Chociaż efekt zdjęciowy nie jest zadowalający,

w pamięci nadal przechowuję obrazy walki dwóch byków. Nie były to zwykłe przepychanki młodych samców, zabawa charakterystyczna dla młodych osobników chyba każdego gatunku, lecz prawdziwa bitwa. Widok walki uzupełniały dźwięki zderzających się łbów, a spod kopyt wystrzeliwały w powietrze fragmenty gleby i liści rzepaku. Sylwetki żubrów zmieniły się z ociężałych olbrzymów w sprawnych atletów o napiętych mięśniach. Ostatecznie pojedynek zakończył się odejściem pokonanego w niesławie. Prawdopodobnie był to byk spoza stada, którego nadejścia nie zauważyliśmy.



Krowa na zdjęciu spokojnie obserwuje cielaka i okolicę. Jednak zaniepokojona potrafi zareagować szybko i zdecydowanie.

Drugą sytuacją, która mogła dostarczyć skoku adrenaliny była reakcja jednej z krów. Dla człowieka, w tym fotografa, to właśnie krowy są bardziej niebezpieczne. Byki, szczególnie gdy są zajęte sobą, nie zwracają uwagi na ludzi. Krowy są czujne, szczególnie te cielne. I to im zdarza się pogonić fotografa. Nie słyszałem o przypadku, aby któryś został poszkodowany, ale zapewniam, nie wynika to z szybkości uciekających fotografów. Raczej z faktu, że celem krowy jest po prostu przepłoszyć intruza. I nas spotkałaby taka sytuacja, żubrzyca już zdradzała zainteresowanie naszą obecnością, lecz jako dobrze wychowani fotograficy obeznani z prawami natury, dyskretnie wycofaliśmy się na z góry upatrzone pozycje w pobliskim lasu.

Zziębnięci i nieco rozczarowani wykonanymi zdjęciami, kierując się prognozą pogody i tak zwanym zdrowym rozsądkiem, zdecydowaliśmy z Tomkiem zakończyć przedwcześnie plener i wracać do domu. I za ten brak konsekwencji zostaliśmy ukarani. Wyjeżdżając następnego dnia rano co prawda odśnieżałem samochód z milimetrowej warstwy śniegu, jednak fakt ten całkowicie zlekceważyłem. Kolejny dzień przyniósł pierwszy duży śnieg tej zimy... A mnie zamiast wykonywania zapierających dech w piersiach zdjęć żubrów pozostało rzucanie śnieżkami z synem. Też było fajnie, choć moje myśli wielokrotnie uciekały w kierunku północno-wschodniego krańca Polski.

Historia jednego zdjęcia

Żubr w niewoli



Nim zrobiłem zdjęcia dzikim żubrom, wielokrotnie miałem okazję do fotografowania ich w niewoli. Spotkałem się z opinią, że robienie zdjęć zwierząt w ogrodach zoologicznych i podobnych instytucjach nie ma sensu. Mówiono, że to smutny widok i lepiej skupić się na dzikich zwierzętach. Oczywiście trudno się z tym nie zgodzić. Jednak jako fotograf często fotografowałem w zoo, służbowo lub dla przyjemności i wiem, że jest to pożyteczne ćwiczenie.

Ten rodzaj fotografii uczy tego, co przyda się później na łonie natury – cierpliwości. Zwierzęta przeważnie są mało aktywne. Trzeba czekać na ziewnięcie, przeciągnięcie lub inną reakcję. Jest to też okazja do ćwiczenia warsztatu, a konkretnie kompozycji. Chcąc uniknąć elementów cywilizacji, na przykład krat, betonów, ludzi, trzeba w to włożyć sporo wysiłku. I przeciwnie, gdy chcemy pokazać, że zdjęcie pokazuje zwierzęta w zamknięciu, trzeba zastanowić się nad tym jak to pokazać, użyć wyobraźni. Ostrość ustawić na oko szympansa, a może tym razem na dłoń trzymającą kratę?

Wycieczka do zoo ma też walor edukacyjny. Sam w dzieciństwie bardzo

lubilem tam chodzić, podobnie teraz mój syn. Mieszczuchy nie mają łatwego dostępu do natury. Oczywiście zasadne może być postawienie pytania czy warto ku uciechu ludzi trzymać zwierzęta w niewoli. A jednak zoo to nie cyrk. Celem nie jest tylko rozrywka. Czy mógłbym wykonać zdjęcia dzikich żubrów gdyby nie te trzymane w niewoli? Historia gatunku pokazuje, że właśnie dzięki działalności ogrodów zoologicznych, a także dobrej woli i zaangażowaniu miłośników przyrody, dziś takie zdjęcia są możliwe.

Fotografia powyżej została wykonana w pokazowej Zagrodzie Żubra w Białowieży. Próba wyeliminowania widocznych w tle zabudowań, za pomocą zabiegów perspektywy, skończyła się ciekawym ujęciem z wykorzystaniem źdźbeł trawy.

Wilczy zew



Wilk z obstawą kruka. Ciekawe tło i udana kompozycja to atuty zdjęcia.

Przed wyjazdem do Tajgi, gdzie zamierzałem fotografować niedźwiedzie, liczyłem po cichu, że spotkam również wilki. Niestety na miejscu okazało się, że od dwóch lat nikt ich nie widział. Podobno przeniosły się bardziej na północ. Wiedziałem, że wilk będzie tematem trudniejszym. Niedźwiedzie, choć nieliczne, człowiekiem się zbytnio nie przejmują. Wilki przeciwnie. Unikają ludzi bardzo skutecznie. Nawet, jeśli są gdzieś w pobliżu, szansa na to, że je zobaczymy, a tym bardziej sfotografujemy jest bardzo mała.

Przez dwa lata śledziłem w internecie kto i gdzie fotografuje wilki w Polsce. Akurat trafiłem na historyczny moment, kiedy to wilk, znajdujący się na granicy wymarcia, rozpoczął prawdziwą ekspansję. Ich populacja rosła. Zaczęło się w Bieszczadach, a potem praktycznie w całej Polsce. Pojawiały się coraz to nowe doniesienia o obserwacji wilka. Najczęściej były to nagrania z fotopułapek. Możliwe, że liczne obserwacje wilka wynikają również z rozpowszechnienia się technologicznych nowinek. Tak czy inaczej wilk był moim kolejnym fotograficznym marzeniem.

Wszystko wskazywało, że najlepszym miejscem w Polsce do fotografowania wilka są Bieszczady. W kwietniu 2017 roku postanowiłem sprawić sobie urodzinowy prezent i marzenie zrealizować. Termin nie był optymalny, gdyż w tym czasie wilki tracą już piękną zimową sierść. Jednak mając informację od miejscowego fotografa, że obserwuje „zbierającą się watahę”, nie wahałem się i zorganizowałem szybki wyjazd do doliny Sanu.

Fotografowanie odbywało się z czatowni. Nie przypominała ona jednak tych, z których korzystałem do tej pory. Był to prawdziwy domek, solidny, choć nieduży. Podłoga była wyłożona wykładziną dywanową, a w otworach na obiektywy powiewały frędzle maskujące. Właściwa izolacja w fotografowaniu drapieżników jest podstawą. Poniżej znajdowała się drewniana półka, do której montowano głowice statywowe. W celu wyrównania wysokości głowicy (przecież różne modele mają różne wysokości) można było użyć specjalnych drewnianych klocków. Otwory były skierowane na wschód, a teren przed czatownią był, jak to w górach, silnie pochylony. W związku z tym każdy ruch obiektywu zmieniał perspektywę. Przynęta pochowana była za powalonymi drzewami, aby nie było jej widać na zdjęciach.

Nie skorzystałem z opcji spania w czatowni. W związku z tym grubo przed świtem dojeżdżaliśmy na miejsce terenówką. Trasa była krótka, za to przewyższenie imponujące. Wiła się w górę przez gęsty las. Zabrałem ze sobą dwa aparaty fotograficzne canon eos 5 d m II oraz canon eos 50 d. Pierwszy pełnoklatkowy, drugi to crop wydłużający ogniskową o przelicznik 1,6. Mój

ulubiony obiektyw canon 200/2,8 uzupełniłem konwerterem 1,4. W ten sposób w różnych konfiguracjach aparatu, konwertera i obiektywu mogłem uzyskać różne zbliżenia i zróżnicowane kadry. Oczywiście, o ile tylko warunki pozwalały, wybierałem pełną klatkę. A okazji do fotografowania było naprawdę dużo.

Pierwszy wilk pojawił się rano. Skrzętnie wykorzystałem okazję, gdyż do końca nie byłem pewny, czy wyprawa się powiedzie. Potem pokazały się kolejne, w tym prawdziwy basior (dominujący samiec w stadzie). Miałem również okazję zaobserwować wiele ciekawych zachowań. Jeden z wilków na moich oczach upolował małego gryzonia, zapewne mysz lub nornicę. Zamiast go zjeść bawił się zdobyczą, kilkakrotnie rozpoczynając polowanie od początku. Niestety działo się w miejscu, gdzie perspektywa była bardzo niekorzystna i zdjęcia mają charakter wyłącznie dokumentacyjny.



Na zdjęciu widać interakcję pomiędzy członkami watahy. Wilk z lewej jest chory na świerzb, o czym świadczy stan jego sierści.

Kolejnego dnia szczęście również dopisało. Miałem przed czatownią aż pięć wilków. Przed zmierzchem pojawiły się wszystkie razem. Co prawda z dużej odległości, jednak udało mi się sfotografować liczne interakcje pomiędzy członkami watahy, czyli wilczego stada. Momentami bawiły się jak psy. Można

było zauważyć, że mimo trwającej zabawy, zachowania odzwierciedlały pozycję poszczególnych osobników w stadzie. Paradoksalnie w wykonaniu zdjęć prawdopodobnie pomógł mi kwietniowy termin. Wegetacja roślinności dopiero się zaczęła i wysokie trawy nie zasłaniały scenerii.

Niektóre z wilków były chore na świerzb. Najgroźniejszym wrogiem wilków jest świerzbowiec, niewielki pasożyt drążący kanały w skórze, co powoduje nieznosny świąd. Wilki drapią się intensywnie, tracąc sierść oraz raniąc się dotkliwie. Pozbawiony sierści osobnik zazwyczaj nie przeżywa kolejnej zimy. Widok chorego wilka jest bardzo przykry, daleko odbiega od naszego wyobrażenia na temat tych zwierząt.



Prawdziwa bestia z Bieszczad.

Z pobytu w Bieszczadach, poza fotografowaniem wilków, najbardziej zapamiętałem dwie rzeczy. Po pierwsze pierogi nadziewane pokrzywą – pierwszy posiłek, jakim uraczono mnie na miejscu. Dociekałem, czy to jakiś miejscowy przysmak, ale okazało się, że po prostu pomysł gospodarza. Druga sprawa dotyczyła długich rozmów na trudne tematy dotyczących relacji fotograf – drapieżnik – miejscowa ludność. Stanowisko gospodarza wydawało mi się niejednoznaczne. Z jednej strony podkreślał zagrożenie jakie niesie zbliżanie się wilków i niedźwiedzi do ludzkich siedzib, z drugiej nie łączył tego

w żaden sposób z nęceniem drapieżników. Dla mnie, jako mieszczucha, problem był czysto teoretyczny. W mieście bardziej niż wilki niepokoiły mnie dziki.

Rok później media obieły sensacyjne wiadomości o dzieciach pogryzionych przez wilka w Bieszczadach. Sytuacja stała się okazją do dyskusji na temat etyki w postępowaniu fotografów przyrody. W szumie internetowych doniesień znalazłem informację, która sugerowała, że sprawcą pogryzienia nie był całkiem dziki wilk. Nienaturalnie stępione pazury miały być dowodem, że zwierzę było przetrzymywane w niewoli, natomiast atak na dziecko polegał na domaganiu się pożywienia, z którym wilkowi kojarzył się człowiek.

Niezależnie od tego jak było naprawdę, trzeba pamiętać, że wilki człowieka unikają. Straszanie wilkiem, co robią na przykład liczne bajki, obecnie jest bajką właśnie. Przypadki ataków są bardzo rzadkie, ale bardzo nagłaśniane. Właściwe pytanie brzmi: Czy nęcenie wilków przez fotografów zmienia ich naturalne zachowanie i zmniejsza dystans pomiędzy wilkiem i człowiekiem?

Z obserwacji i badań wynika, że wilki są wśród nas. Oczywiście dotyczy to terenów wiejskich, słabo zaludnionych, blisko lasów. Niedawno oglądałem film dokumentalny, w którym badacze przy pomocy kamer działających na podczerwień obserwowali zachowania wilków w Alpach. Początkowo nie umieli ich znaleźć. Dopiero po kilku miesiącach zorientowali się, że szukali w niewłaściwych miejscach. Wilki były bliżej niż myśleli. Na udanych nagraniach widać je wędrujące nocą asfaltowymi drogami, a nawet przechodzące przez wsie. Sceny polowania wilków odbywały się w bezpośredniej odległości od domów mieszkalnych, które również były widoczne w kadrze.

Fotograf, który udostępnił mi czatownię, dzieląc się swoimi doświadczeniami twierdził, że nawiązał z wilkami swoistą więź. Tak jak on je rozpoznaje, tak i one rozpoznają jego, prawdopodobnie po zapachu. Choć wilki trzymają się poza zasięgiem jego wzroku, to jednak nie reagują też ucieczką. Jednocześnie te same wilki nadal trzymają dystans wobec innych ludzi.

Zwolennikiem fotografowania z czatowni jest również Marek Kosiński. Jednak podkreśla, że trzeba umieć nęcić drapieżniki w taki sposób, aby nie zmieniać ich naturalnych zachowań. Czyli między innymi nie przesadzać z ilością przynęty, gdyż wówczas nęcenie zamienia się w dokarmianie. Podkreśla jednocześnie fakt, że metody te są stosowane w wielu krajach, również w proekologicznej Europie Zachodniej. Porównuje robienie zdjęć z czatowni

i z podchodu, zwracając uwagę, na negatywne skutki drugiego sposobu, czyli naruszanie rewirów zwierząt oraz ich płoszenie.

Polski Związek Fotografów Przyrody widzi tą sprawę inaczej. Wprowadził zmiany w kodeksie etycznym związku, który bywa punktem odniesienia również dla innych instytucji oraz osób niezrzeszonych w PZFP. Zakaz nęcenia dużych drapieżników (niedźwiedzi, wilków, rysi) jest jasno określony. Sam przekonałem się o skuteczności tych zapisów. Jedno z moich wilczych zdjęć zdyskwalifikowano w finale ogólnopolskiego konkursu fotograficznego, gdyż zostało wykonane przy nęcisku. Nie kryłem sposobu w jaki powstała fotografia, broniłem się natomiast okolicznością, że zdjęcie wykonałem jeszcze przed zmianami w kodeksie etycznym. Mimo dyskwalifikacji nie miałem pretensji, gdyż w regulaminie konkursu było wyraźne odniesienie do aktualnego kodeksu.

Niestety dyskusja na tematy etyki sama często okazuje się nieetyczna. Fotografowie niezależni, PZFP, naukowcy, ekolodzy, myśliwi, leśnicy i wszyscy inni, którzy chcą zająć stanowisko w tej sprawie, coraz bardziej okopują się na swoich stanowiskach, a porozumienie wydaje się niemożliwe. Brakuje wsłuchania się w argumenty osób o odmiennych poglądach, za to często sięga się po ironię lub nawet oskarżenia i inwektywy. Jako osoba obserwująca sytuację nieco z boku, gdyż nie reprezentuję żadnej instytucji i nie zarabiam na fotografii przyrody, myślę, że w wyniku dialogu można znaleźć dobre rozwiązania. Wyznaczenie jasnych, przemyślanych wytycznych, do których wszyscy muszą się dostosować byłoby podstawą porozumienia.

W Finlandii miałem okazję obserwować i fotografować niedźwiedzie. Działo się to jednak na całkowitym odludziu, więc nie było problemu, czy niedźwiedzie zagrażają miejscowej ludności. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że w Polsce trudno o takie tereny. Jednak tematów wymagających wyjaśnienia jest więcej. Fotografowanie przy gniazdach, nęcenie żywą przynętą, zwierzęcą kukłą, głosem (przeważnie w czasie godów), tworzenie studni zapachowych (zwierzę nie ma możliwości dostać się do mięsa, choć czuje jego zapach), fotografowanie zwierząt chorych lub rannych, specjalne płoszenie zwierząt (na przykład aby przegonić ptaki na inny zbiornik wodny), lub płoszenie ich na nęcisku, aby fotograf mógł wcześniej opuścić czatownię – te i wiele innych zachowań budzi większe lub mniejsze kontrowersje. I chyba najbardziej aktualne pytanie: Czy fotografowanie z czatowni jest dla zwierząt gorsze, niż z podchodu, który przeważnie kończy się przepłoszeniem zwierząt?

Ludzka działalność, przeważnie polegająca na przemieszczaniu się, hałasowaniu, wytwarzaniu światła, zapachów i odpadków, radykalnie

zmieniająca przestrzeń, wpływa na zachowanie zwierząt. Dzieje się to cały czas, tylko że przeważnie nie zdajemy sobie z tego sprawy. Jako fotograf zacząłem to dostrzegać i skłoniło mnie to do refleksji. W tym sensie fotografia uwrażliwiła mnie na dobro zwierząt. Wcześniej dzikim zwierzętom tylko dobrze życzyłem, teraz mogę więcej, bo wiem więcej.

Dlatego tak cenne jest korzystanie z doświadczenia mistrzów. Dzięki nim nie tylko robimy lepsze zdjęcia, ale też poznajemy przyrodę i uczymy się sprawnie poruszać wśród dzikich zwierząt. Moim zdaniem miłośnik przyrody wyrządzi mniej zła naturze, gdy będzie uczestniczył w dobrze zorganizowanych warsztatach, niż samodzielnie ucząc się na własnych błędach.



Charakterystyczne żółte oczy wilka są hipnotyzujące.

Historia jednego zdjęcia

Modna kukułka



Jestem wyjątkowo odporny na reklamę, trendy mody itp. Żona wymienia garderobę w zależności od tego co jest na czasie, ja gdy ulegnie zniszczeniu. A jednak w fotografii przyrody zdarzyło mi się krótko „być na topie”.

Za sprawą internetu, a szczególnie Facebooka zauważyć można zjawisko mody na fotografii pewnych gatunków. Bowiem to Facebook stał się platformą wymiany informacji, a przede wszystkim prezentacji zdjęć. Jako narzędzie komunikacji bardzo pomógł fotografom, którzy w łatwy sposób mogą nawiązać ze sobą kontakt. W pewnym sensie uniezależnił fotografów od instytucji. Kiedyś członkostwo w różnego rodzaju stowarzyszeniach było niemal nieodzowne. Teraz łatwo można funkcjonować poza strukturą.

Jednocześnie odnoszę wrażenie, że wielu fotografów napędza się ilością „lajków” i zdjęcia robią właśnie w celu ich publikacji na „fejsie”. Nie ma w tym niczego złego, natomiast prowadzi do zjawiska, o którym zacząłem pisać na początku. Aby zaimponować braci, trzeba wykonać zdjęcie, jakiego jeszcze (lub dawno) nie widziano. Najłatwiej zająć się mało popularnym gatunkiem. Wrzucone do netu zdjęcie robi furorę, a fotograf szybko znajduje naśladowców.

W ten sposób dużą popularność zyskała kilka lat temu kukulka. W szranki stanąłem więc i ja. W tym celu przyłączyłem się do specjalisty, kolegi po fachu, Łukasza Sokołowskiego. Ten ambitnie rozwijał temat przez kilka sezonów, próbując połączyć fotografię przyrodniczą z postindustrialną. Wiernie mu w tym kibicowałem, bo choć sam nie czułem się na siłach, uważałem, że temat jest jak najbardziej godny wysiłków. Szczególnie gdy mieszka się na Górnym Śląsku.

Kukulkę fotografuje się w maju, gdy ptaki są bardzo aktywne ze względu na gody. Ukryliśmy się w namiocie z kamuflażem w miejscu wcześniejszych obserwacji i sesji Łukasza. Wyciosałem piękną gałąź dzikiej jabłonki i wkopałem w ziemię. Ściana lasu była we właściwej odległości. Teraz trzeba było już tylko czekać. Niestety kukulka trzymała dystans. W końcu zniecierpliwiony Łukasz wyszedł z namiotu i zamienił świeżą gałąź, na starą, z której korzystał poprzedniego dnia i na której kukulka chętnie pozowała. Chwilę później kukułeczka zjawiała się na planie. Problem jedynie był taki, że kwiaty jabłoni już zwiędły i przedstawiały raczej biedny widok. Przecież nie o takie zdjęcia zabiegaliśmy. Na szczęście udało mi się sfotografować naszą modelkę podczas lotu. A więc i ja miałem swoją kukulkę!

Nie cieszyłem się długo, gdyż spóźniłem się nieco z publikacją. Teraz modne były krętogłowy! Do tego wyścigu już nie stanąłem.

Na ryby



Magiczny moment, gdy szpon polującego rybołowa dotyka powierzchni wody.

Dwa lata przygotowań do fotografowania wilków okazało się stosunkowo krótkim terminem. Od pomysłu, by wybrać się na ryby wspólnie z rybołowem, do momentu, w którym mogłem się pochwalić zdjęciami (ryby w szponach tego drapieżnego ptaka) minęło dziewięć lat. Marzenie pomógł mi zrealizować Krzysztof Stasiaczek, który rybołowy fotografuje „od zawsze” i jest w tym najlepszy. Pozostawałem z nim w kontakcie przez wiele lat, szczególnie w okresie, gdy rybołowy przylatywały do Polski – na zimę ptaki opuszczają nasz kraj i udają się do cieplejszej Afryki.

W trakcie tych dziewięciu lat zmieniłem sprzęt fotograficzny, zdobyłem doświadczenie i wymyśliłem, jak chcę rybołowa sfotografować. W mniejszym stopniu interesowały mnie, zwane „Aniołami”, ujęcia ptaka pluskającego się w wodzie po zakończonym ataku. Bardzo efektowne zdjęcia złożone z rozbryzgów wody, niezanurzonych fragmentów ptaka oraz lustrzanych odbić w wodzie, mają jeden zasadniczy minus – jest ich dość dużo. Podobnie, jak fotografii przedstawiających odlot myśliwego ze zdobyczą w szponach.



Typowe ujęcie rybołowa w wodzie po wykonanym ataku. Tym razem w otoczeniu liści i kwiatów grążelu żółtego.

Wynika to ze sposobu polowania rybołowa. Małe ptaki, takie jak zimorodek, atakują dziobem, którym wbijają się w wodę, a jeśli szczęście dopisze również

w rybę. Są to bardzo trudne do uchwycenia, szybkie naloty, jednak wykonywane ze stałych miejsc, najczęściej z gałęzi wiszących nisko nad wodą. Duże ptaki, na przykład bielik, atakują wyciągając do przodu szpony, którymi chcą schwytać rybę. Nalot jest wykonywany z dużej wysokości, a lot jest dużo łatwiej śledzić. Rybołów, należący do dość dużych ptaków – rozpiętość skrzydeł sięga nawet 170 cm, również atakuje szponami. Jednak nalot w jego wykonaniu jest dużo szybszy i wykonywany z niższego pułapu. Powoduje to duże problemy fotografów z uwiecznieniem „decydującego momentu”.



Odłot rybołowa ze zdobyczą w porannej mgle.

Moim pomysłem było postawienie w wodzie zdalnie sterowanych aparatów, w taki sposób, by nie wchodziły sobie wzajemnie w kadr i skierowanych w różnych kierunkach. Co prawda obserwując kierunek wiatru można przewidywać w jakim kierunku zaatakuje rybołowa (zazwyczaj pod wiatr), ale stawiając aparaty przed świtem, na długo przed wykonaniem zdjęcia, trudno przewidzieć warunki pogodowe. Z tego też powodu zdecydowałem się na ustawienie stałych parametrów ekspozycji i ostrości. Czas migawki ustaliłem na 1/1600, gdyż zwyczajowa 1/1000 często okazywała się czasem zbyt długim! Przysłonę przymknąłem do F8, aby uzyskać jak największą głębię ostrości. Czulość ISO pozostawiłem w automacie, aby światłomierz aparatu fotograficznego mógł korygować ekspozycję w zależności od zmieniających się

warunków oświetleniowych. Skorzystałem też z odległości hiperfokalne przy preselekcji ostrości. Sprawdziłem wartości dla rozmiaru matrycy i zastosowanej ogniskowej w tabelach dostępnych w internecie i zastosowałem się do wyliczonych wartości. Odległość hiperfokalna ustawiona w manualu zapewnia maksymalną głębię ostrości i stosuje się ją przeważnie w fotografii krajobrazu.

Zastosowana metoda miała zapewnić mi zdjęcia polującego rybołowa wykonane szerokim kątem i ukazujące zwierzę w na tle naturalnego środowiska. Jednak nawet najlepszy pomysł, wsparty sprzętem i umiejętnościami fotografa, nie zda się na nic, jeśli ptak nie przyleci. Dlatego wyprawa na Mazury musiała być poprzedzona dokładnym rozpoznaniem tematu. Termin wyjazdu stale się przesunął, gdyż brakowało mi czasu, rybołów nie gniazdował lub tracił lęg. Gdy wszystkie te elementy zgrały się w czasie, wykorzystałem okazję. Wykonane zdjęcia, szczególnie te zrobione zgodnie z opisanym wyżej pomysłem, wynagrodziły mi lata oczekiwania.

Sesja zdjęciowa była również okazją do obserwacji ciekawej sceny. Zazwyczaj dorosły rybołów po udanym polowaniu siada na gałęzi w pobliżu gniazda. Sam zjada głowę ryby, a resztę zdobyczy zanosí młodym, aby zaspokoíły głód. Zdjęcia wykonywałem w lipcu, gdy młode są równie wielkie jak dorosłe osobniki, i zaczynają opuszczać gniazdo. Nie potrafią jeszcze samodzielnie polować. Dlatego, gdy dorosły ptak z rybą w szponach, wielokrotnie krążył nad jeziorem w towarzystwie innego rybołowa, uznaliśmy, że to rodzic zachęca młodego do polowania. Niestety nie byliśmy w stanie zaobserwować ciągu dalszego, ani potwierdzić tej teorii.

Na koniec jeszcze kilka uwag. O znaczeniu wiatru już pisałem, ale ma on większy wpływ na zdjęcia wykonywane nad wodą niż może się wydawać. Odpowiednio sfotografowane fale wyglądają na zdjęciach bardzo efektownie. Jednak zmarszczona powierzchnia wody powoduje, że trudno uzyskać na fotografiach efekt lustrzanego odbicia. Dodatkowo fale potrafią zakłócić pomiar ekspozycji.

Podczas ataku rybołów potrafi w całości schować się pod wodę, a ryby sięgać nawet na głębokości jednego metra. Krzysztof Stasiaczek wykonuje również zdjęcia ptaka nurkującego pod wodą, korzystając z aparatu fotograficznego w obudowie podwodnej. Jak widać inwencja fotografów jest równie nieograniczona, jak bogactwo wartych uwiecznienia spektakli przyrody.

Rybołów jest popularnym ptakiem, obecnym na całym świecie, poza strefami polarnymi. W Polsce jest to gatunek skrajnie nieliczny. Gniazdujące pary

można policzyć na palcach jednej dłoni. Ptak, jako jedyny obok sów, potrafi wykonać chwyt dwoma palcami z przodu i dwoma z tyłu – wszystkie są tej samej długości, co bardzo pomaga w łowieniu śliskich ryb.

Porównując rybołowa do bielika nie sposób nie zauważyć, że ten pierwszy niewiele sobie robi z obecności człowieka. Co prawda miałem okazję widzieć polującego bielika pomiędzy żaglówkami i kajakami na jeziorze Paprocany w Tychach, jest to jednak widok rzadki. Tymczasem fotografowanie rybołowa nie wymaga zachowania precyzyjnego ukrycia, zachowania całkowitej ciszy i ostrożności w operowaniu obiektywem. Po raz kolejny potwierdza się moja teoria, że zwierzęta traktują wodę jako naturalną barierę, która chroni je przed człowiekiem i tym samym pomaga fotografom.



Fotomontaż złożony z dziewięciu zdjęć wykonanych podczas jednej serii, dokumentujący przebieg polowania rybołowa.



Na rybę było więcej chętnych, między innymi perkoz dwuczuby.



Efektowne ujęcie rybolowa pod wodą. Na pierwszy rzut oka to czysta abstrakcja.

Historia jednego zdjęcia

Zdjęcia z rybą



Lubię wykonywać zdjęcia nad wodą, o czym już wcześniej pisałem. Dodatkowym atutem takich zdjęć są też częste ujęcia ptaka z rybą. Polowanie zazwyczaj jest bardzo efektowne, szczególnie gdy ryba stawia opór lub jest po prostu za duża. Zdjęcie powyżej cenię sobie najbardziej w kategorii „ptak z rybą”. Nie jest to fotografia z polowania, a z karmienia. Samiec bączka karmi dwa podrośnięte młode. Jeden jest tak agresywny, że zmusza ojca do ucieczki, a przy okazji deprecjuje rodzeństwo. Warto zwrócić uwagę, na kilka elementów. Agresor chwytą samca za nogę, nie pozwalając mu uciec. Pisklęta są już tak duże jak dorosły ptak, jednak jeszcze nie potrafią latać i polować. Apetyt mają ogromny, muszą się przygotować do lotu w „ciepłe kraje”. To samo dotyczy ojca, który chętnie sam zje rybę widoczną w jego dziobie. Ucieczka może mieć również dodatkowy kontekst. W wyniku tej rodzinnej awantury ryba ostatecznie wylądowała w wodzie. Być może celem rodzica jest sprowokowanie młodych do samodzielnych prób polowania. To się poniekąd udało, gdyż odważniejszy z młodych bączków, wkrótce potem zapolował w miejscu upadku ryby, niestety nie wiem z jakim skutkiem.

W sercu Afryki



Zebra jest niezwykle efektownym modelem dla fotografa.

W fotografii przyrodniczej najbardziej interesuje mnie nasza rodzima fauna. Jednak jeden egzotyczny temat śnił mi się od wielu lat – afrykańska sawanna. Pod wpływem filmów przyrodniczych oraz literatury stworzyłem w swojej głowie niezwykle interesujący obraz, który chciałem skonfrontować z rzeczywistością. Na przeszkodzie stawały liczne przeszkody, w postaci wysokich kosztów takiej wyprawy, strachu przed nieznanym, czy wreszcie sytuacji w domu. Żona nie chciała mi towarzyszyć w wyjeździe do Afryki. Ja nie chciałem jej zostawiać samej z naszym małoletnim synem. Wszystko zmieniło się, gdy Marek stwierdził, że też chce jechać. Miał już czternaście lat, interesował się fotografią, więc stwierdziłem, że jest gotów. Wówczas okazało się, że również żona osiągnęła gotowość do egzotycznej przygody i wyruszyliśmy w trójkę. Rodzinny wyjazd miał inny charakter niż początkowo planowałem i fotografia nie była tym razem najważniejsza.

Skorzystaliliśmy z gotowej oferty dużego biura podróży. Egzotyka była równie pociągająca, co budząca niepokój. Systemowe rozwiązanie turystyczne pozwalało na większy komfort i poczucie bezpieczeństwa. Tym razem przygotowania trwały blisko rok i polegały na poznaniu warunków, jakie czekały na nas w Kenii. Pogoda, język, obyczaje, zagrożenie różnymi chorobami – w trakcie zbierania informacji mnożyły się kolejne tematy .



Zdjęcie lamparta wykonane w nocy.

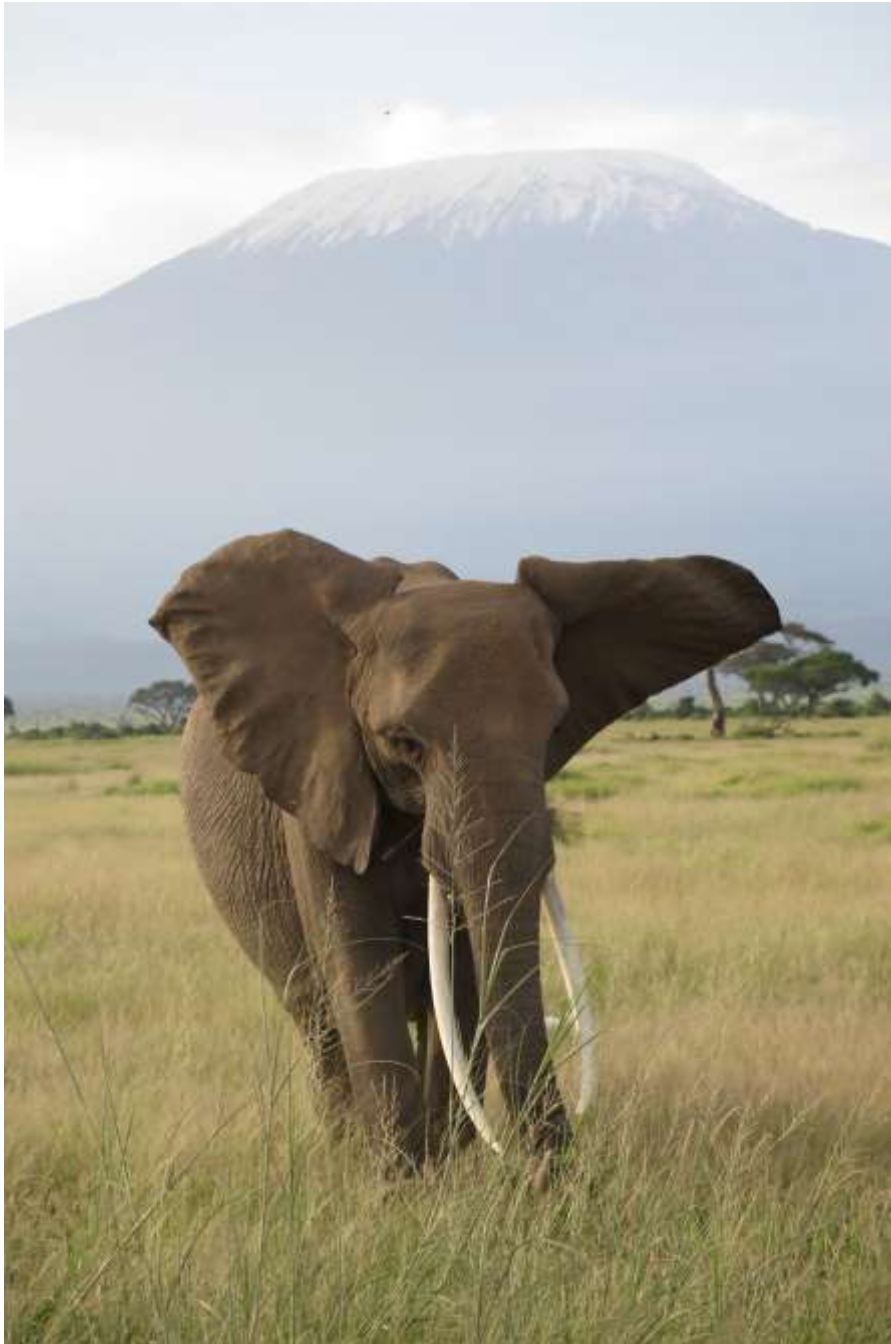
Ostatecznie, już po powrocie, stwierdziłem że podróżując w sposób zorganizowany, korzystając z zapewnionego transportu oraz bazy hotelowej, Afryka wcale nie jest taka straszna. Zakup specjalnych ubrań, moskitier, wykonane szczepienia, były „dmuchaniem na zimne”. Oczywiście moje odczucia mogłyby być inne gdybyśmy jedli poza hotelami, spali w bardziej polowych warunkach, czy podróżowali razem z tubylcami. Być może wystarczyłoby, że pogoda byłaby inna.

W Kenii na przemian panuje pora sucha i deszczowa. Wyjeżdżając w lutym spodziewaliśmy się trafić na porę suchą. Miałem co prawda informacje, że pora deszczowa w Kenii (ta przypadająca na okres polskiej zimy), jest coraz krótsza i przesuwana się w czasie, ale nie spodziewałem się tego co zastaliśmy na miejscu. Dopisało nam szczęście. Trafiliśmy na końcówkę pory deszczowej, jednak nie padało ani razu. Drogi były suche, lecz nie pyliły aż tak bardzo jak w porze suchej. Roślinność była zaskakująco bujna i zielona. Ograniczało to możliwości obserwacji zwierząt, gdyż trudniej było je wypatrzyć. Również wodopoje nie dawały pewności spotkania zwierząt. Jednak pod względem krajobrazowym sawanna prezentowała się znakomicie.

Pierwszym parkiem narodowym, który zwiedzaliśmy był Tsavo West. Teren był pofałdowany, gdzieśkolwiekś spośród bujnej roślinności wystawały czerwone skały. Tego samego koloru była droga. Tsavo znane jest z czerwonej gleby i... czerwonych słoni, chętnie korzystających z błotnych kąpiel. Poruszaliśmy się samochodem terenowym, który miał możliwość podniesienia dachu. Dawało to możliwość obserwacji okolicy oraz wykonywania zdjęć podczas postoju. W trakcie jazdy samochodem rzucało na wszystkie strony, wykonywanie zdjęć, szczególnie teleobiektywem nie było możliwe. Podejmując podobne próby zarobiłem kilka siniaków. Samochód jeździł tylko po wyboistych drogach, kierowcy nie wolno było zjechać w busz. Nie mogliśmy również opuszczać samochodów. Zlekceważenie tych zasad groziło odebraniem licencji kierowcy pojazdu.

Krajobraz zmienił się, gdy dotarliśmy do Parku Narodowego Amboseli. Szerokie równiny pokryte trawą i nielicznymi akacjami zdecydowanie bardziej przypominały moje wyobrażenia sawanny. Park jest największą enklawą słoni na świecie. Żyje tutaj około 1800 osobników. Moim celem było wykonanie zdjęć słoniom ze szczytem Kilimandżaro w tle. Najwyższy szczyt Afryki rzadko prezentuje się turystom w całej okazałości, często przysłaniają go chmury. My mieliśmy szczęście, drugiego dnia o świcie udało się zrealizować najważniejszy fotograficzny cel wyprawy. Kilimandżaro słynne jest z powodu

śniegu pokrywającego wierzchołek góry przez cały rok. Zmiany klimatyczne powodują, że pokrywa śnieżna topnieje, a spływająca woda zmienia charakterystykę parku. Być może wkrótce będą to tereny podmokłe, co wpłynie na krajobraz, faunę i florę.



Ciosy sięgające niemal do ziemi (każdy waży około 60 kilogramów) są przyczyną częstych polowań kłusowników. Podobny los spotyka nosorożce z powodu ich rogów, mających podobno magiczne właściwości.

Ostatnim przystankiem podczas safari było Tsavo Wschodnie. Krajobraz był czymś pośrednim pomiędzy dwoma wcześniejszymi parkami. Szerokie łąki

były poprzecinane wzniesieniami i licznymi skałami. Tsavo słynne jest za sprawą historii z czasów budowy linii kolejowej łączącej Mombasę i Nairobi. Hindusi sprowadzeni do Kenii przez Anglików, aby wybudować tory kolejowe, padali ofiarami ataków dwóch lwów. Samce posiadały wadę genetyczną, z powodu której posiadały jedynie szczątkową grzywę. Mimo to są chyba najstraszliwszymi lwami, ludobójcami z Tsavo. Być może również z tego powodu to właśnie lwy najbardziej wpływały na emocje turystów oraz kierowców safari. Szczęście ponownie nam dopisało, widzieliśmy lwy kilkakrotnie, w tym raz olbrzymiego samca (z dorodną grzywą) w towarzystwie orszaku lwic.



Król zwierząt we własnej osobie.

To, co mnie zaskoczyło w podczas safari, to liczebność stad. Nie liczyłem na ciągnące się po horyzont stada antylop i zebra, przecież nie byliśmy w Serengeti. Jednak spotykaliśmy pojedyncze sztuki lub pary zwierząt. Stado antylop liczące kilkanaście sztuk widziałem może dwa razy. Naprawdę liczne były tylko stada słoni i pawianów, raz spotkaliśmy liczące kilkadziesiąt sztuk stado bawołów.

Muszę również wspomnieć o Kenijczykach. Są to ludzie bardzo przyjaźni i otwarci. Żyją na dużo niższej stopie niż Europejczycy, niewielu posiada stałe zatrudnienie. Turyści są dla nich okazją do zarobku. Stąd pewna nachalność w

oferowaniu najróżniejszych usług i oczywiście specjalne, wyższe ceny. Zwraca uwagę komunikatywna znajomość języka angielskiego, również w przypadku słynnych Masajów. Przy okazji rozwiewam mity na temat ich wysokiego wzrostu. Z punktu widzenia osoby mierzącej dwa metry wzrostu stwierdzam stanowczo – są niscy.

Wyjazd był najbardziej egzotyczną wyprawą dla naszej rodziny. Doznania były niepowtarzalne, a jednocześnie Afryka okazała się nie być aż tak groźna jak malowała to wcześniej nasza wyobraźnia. Zadowoleni byli wszyscy, również syn i żona. Charakterystyczne, kojarzone z Kenią, hasła w suahili: „Hakuna matata” oraz „Pole pole” („Nie martw się” i „Powoli, powoli”) niech będą najlepszą puentą naszego safari.



Bawół Afrykański, lepiej nie wchodzić mu w drogę. Nie przypadkowo tworzy słynną „Wielką Piątkę”, wspólnie z lwem, słoniem, nosorożcem i lampartem. Wymienione zwierzęta były uznawane przez myśliwych za najniebezpieczniejsze i tym samym najtrudniejsze do upolowania.



Czerwony Słoń z Tsavo naprawdę jest czerwony.



Ta żyrafa stoi, nie leży! Zdjęcie daje wyobrażenie na temat wysokości traw rosnących na sawannie.



W podróżach po Kenii najczęściej towarzyszyły nam błyszczaki, takie afrykańskie szpaki, oraz...



... agamy tęczowe.

Historia jednego zdjęcia

Wiewiórka z wulkanem w tle



Nie do końca jest prawdą, że wyprawa do Kenii była moim pierwszym wyjazdem do Afryki. Wcześniej byłem już bowiem na wakacjach na Wyspach Kanaryjskich. Nie była to wyprawa fotograficzna, ale urlop dał wiele okazji do wykonania ciekawych zdjęć. Również przyrodniczych. Pamiętam szczególnie papugi siadające na rękach turystów oraz wiewiórki marokańskie, które również nie bały się ludzi. Szczególnie zainteresował mnie ten drugi temat. Mam w archiwum wiele atrakcyjnych ujęć, między innymi kota z wiewiórką w zębach, dumnie paradującego ze swoją zdobyczą. Jednak fotografią, którą lubię najbardziej jest ujęcie wiewiórki w stójce, z szeroką panoramą górskiego krajobrazu wnętrza Fuerteventury w tle.

Miło wspominam tamten dzień. Korzystając z pierwszej nadarzającej się okazji uciekłem z plaży, wypożyczyłem kabriolet i udałem się na wycieczkę w głąb wyspy. Zatrzymując się na parkingu, aby wykonać zdjęcia krajobrazowe, od razu skierowałem swoje zainteresowanie w kierunku wiewiórek. Jak zwykle krajobraz przegrał, gdy nadarzyła się okazja wykonania fotografii fauny. Wówczas miałem już wiele ujęć wiewiórek, jednak to konkretne, ukazujące wulkaniczne pochodzenie wyspy najlepiej oddaje obrazy zachowane w mej

pamięci.

Nie tylko zwierzęta



Zachód Słońca, Zespół Przyrodniczo-Krajobrazowy „Żabie Doły”.

Fotografowanie zwierząt nie wyczerpuje możliwości jakie daje fotografom dzika przyroda. Ja również szukając głównych obiektów mojego zainteresowania, rozglądam się wokół i jestem pod wrażeniem piękna krajobrazów, roślin, skalnych formacji... Stąd w moim archiwum wiele zdjęć dokumentujących również taką tematykę.



Białe Skály, Góry Stołowe, Karkonosze. Nietypowe zdjęcie krajobrazowe, stawiające w centrum uwagi kwitnący wrzos.

Poszukiwania najciekawszych kadrów oraz odpowiedniego światła zajmuje fotografom godziny, dni, a nawet lata. A co zrobić jeśli temat jest „oklepany”? Wielokrotnie fotografowany, a wszystkie ujęcia są do siebie bardzo podobne? W sukurs przychodzi Photoshop! Nie mam na myśli tworzenia obrazów przez sztuczną inteligencję, ani ukrytej ingerencji powodującej „podrasowanie” fotografii. Ciekawym sposobem, oczywiście zmieniającym fotografa w grafika komputerowego, jest panorama kołowa. Kilka lat temu efektowne zdjęcia obrobione w ten sposób podbiły internet. Swoich sił w tej dziedzinie próbowałem i ja. Poniżej zdjęcie Morskiego Oka w polskich Tatrach. Górskie szczyty, wyznaczające jednolitą linię horyzontu, idealnie nadają się do stworzenia efektownej panoramy kołowej.



Panorama kołowa przedstawiająca przyrodę nieożywioną, Morskie Oko w Tatrach.

Technika wymaga wykonania wielu zdjęć pokrywających pełen widnokrąg, 360 st. Zdjęcia wykonywałem zimą, więc mogłem bezpiecznie stanąć na środku jeziora. Dzięki zaawansowanym funkcjom Photoshopa nie musiałem nawet stosować statywu. Było mi to na rękę, i to dosłownie, gdyż akurat podczas tej wyprawy prawą dłoń miałem w gipsie. Droga górskim szlakiem nie nastroczała szczególnych trudności, jednak obciążony ciężkim sprzętem, wędrując po śliskiej nawierzchni, miałbym z pewnością duże problemy. Już w domu z wykonanych zdjęć stworzyłem zwykłą panoramę. Następnie postępując według reguł znalezionych bez trudu w internecie, zamieniłem ją na panoramę kołową. Zdjęcie, mimo upływu lat, pozostaje jednym z ciekawszych krajobrazów mojego autorstwa.



Cud natury, który musiałem uwiecznić – zrosnięte sony w „Uroczysku Buczyňa” w Chorzowie.

Szukając niebanalnych kadrów zwracam swój obiektyw również w kierunku roślin. W przeciwieństwie do zwierząt, pozują chętnie, cierpliwie... Ale zachwycają wyłącznie swoim pięknem. Bez stosowania specjalnych efektów nie jesteśmy w stanie pokazać ich w ruchu lub też wzajemnych relacji. A może jednak? Powyższe zdjęcie, które nazwałem „Razem rażniej” pokazuje prawdziwy cud natury. Mam więcej fotografii przedstawiających zrosnięte drzewa, ale to jest wyjątkowe. Również dlatego, że wykonałem je smartfonem. Urządzenia te zmieniają rynek fotograficzny i koniec końców, również ja zacząłem z nich korzystać. W fotografii krajobrazowej przydaje się ultra szeroki kąt widzenia, jaki oferują.

Historia jednego zdjęcia

Motyl po przejściach, ale na szczycie



Wybitni fotografowie w dziedzinie macro posiadają specjalistyczny sprzęt pozwalający na wykonywanie imponujących zbliżeń. Stosowane są również specjalne metody łączenia zdjęć, tak zwany focus stacking, pozwalające na zwiększanie głębi ostrości! Bowiem to właśnie ten aspekt często stanowi największy problem przy fotografowaniu małych obiektów. Fotograf macro pracujący w plenerze, nosi ze sobą również dodatkowy sprzęt, mający ograniczyć wpływ wiatru na scenę. Może to być na przykład specjalny namiot. Wspomniana już mała głębia ostrości sprawia, że nawet najmniejszy powiew może zniweczyć całe przygotowania. Ja specjalistą od zdjęć macro nie jestem. Nie mam też odpowiedniego sprzętu, dlatego szukam ujęć, które wyróżnią się w inny sposób niż techniczna doskonałość. Do takich fotografii należy powyższe zdjęcie przedstawiające Pazia Królowej na szczycie Sokolicy, jednego z najwyższych pienińskich szczytów. Stan skrzydeł zdradza, że droga na szczyt do łatwych nie należała.

Na granicy natury i cywilizacji



Łania jelenia zastanawia się czy pasy to dobre miejsce do przekroczenia ulicy. Takie rzeczy tylko w Zakopanem!

Moje zainteresowanie przyrodą trwa już na tyle długo, że zdążyłem poczynić kilka obserwacji. Najważniejszą jest rosnąca ilość zwierząt w mieście, albo ujmując rzecz szerzej na terenie znajdującym się we władaniu człowieka. Ludzie coraz bardziej ingerują w ostatnie ostoje dzikiej zwierzyny, ale i przedstawiciele dzikich gatunków coraz śmielej wkraczają na terytorium człowieka.

Część obserwacji jest raczej oczywistych. Lisy od zawsze kręciły się wokół siedzib ludzkich licząc na łatwą zdobycz, na przykład w postaci kur. Jednak, o ile w dzieciństwie lis był dla mnie postacią bajkową, o tyle obecnie spotykam go regularnie. Wieczorne spacery po Chorzowie są doskonałą okazją do obserwacji lisów, które nawet się nie kryją. Szukają jedzenia przy śmietnikach, biegają po cmentarzach, parkingach, truchtają po ulicach. Miałem już sytuację, że lis siedział na środku ulicy i musiałem zatrzymać samochód, gdyż zwierzę nie zamierzało uciekać. Mrugnięcie długimi światłami skutecznie go przepłoszyło. Podobne sceny na wsi z pewnością nikogo nie dziwią, pamiętajmy jednak, że mówię o mieście położonym w centrum Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, w centrum największej obok Warszawy polskiej aglomeracji.



Symbol symbiozy człowieka i dzikiego zwierzęcia – bocian spacerujący po mazurskiej wsi.

Druga obserwacja, to rosnąca ilość krukowatych, które można spotkać w mieście. Kolorowe sójki i eleganckie sroki, szare kawki, a zimą gawrony to stały element miejskiego krajobrazu. W ostatnich latach często spotykam również wrony siwe, których z poprzednich lat nie pamiętam w ogóle. Co więcej, w mojej ignorancji myślałem, że wrony są czarne, takie jak na filmach (tymczasem czarnowron w Polsce jest rzadko spotykany, co więcej ostatnio już nie jest uznawany za podgatunek wrony). Oczywiście są również takie gatunki krukowatych, jak kruki i orzechówki, których w mieście nie spotykam. Rosnąca populacja krukowatych na miejskich terenach ma chyba również skutki uboczne, ponieważ są one prawdopodobnie główną przyczyną malejącej ilości wróbli, gatunku niegdyś bardzo licznego w centrach miast. Ja mieszkając w Katowicach częściej niż wróble spotykałem tylko gołębie. Tych ostatnich nadal jest bardzo dużo i bywają one uciążliwe dla ludzi. Zakładanie gniazd w wentylacji budynków, brudzenie elewacji odchodami i gruchanie, szczególnie we wczesno porannych godzinach, nie przysparza im zwolenników. Jest jednak i wielu zwolenników gołębi, którzy często je dokarmiają. Powoduje to nawet napięcia pomiędzy osobami o skrajnie odmiennych poglądach w tej sprawie.



Łania jelenia przeskakująca przez ogrodzenie w Ustrzykach Dolnych. Płot stoi mniej niż 100 metrów od rynku.

Groźniejsze od gołębi są dziki. Wielu mieszkańców miast nie zdaje sobie

sprawy, że przeryte miejskie trawniki to ich dzieło. Dzikie w poszukiwaniu jedzenia potrafią zapuszczać się w sam środek dużych osiedli mieszkaniowych. Wzbudzają zainteresowanie i strach, bo przecież „dzik jest dziki”. I rzeczywiście dziki potrafią być groźne, sam widziałem dużego psa poturbowanego przez dziką do tego stopnia, że życie musiał mu ratować weterynarz. Groźna jest szczególnie locha chroniąca swoje młode. Podobno szarże dzików często są spowodowane ich słabym wzrokiem, podbiegają by z bliska zobaczyć z kim mają do czynienia. A jednak widok biegnącego dzika z nisko pochyloną głową robi tak duże wrażenie, że nie znam śmiałka, który przetestowałby tę teorię. Czy dzik się zatrzyma, aby się nam przyjrzeć? Mnie się wydaje, że zwierzęta te należą raczej do tych, którzy „najpierw strzelają, a dopiero potem pytają”.

Jakkolwiek dzikie zwierzęta w mieście wiążą się z pewnymi zagrożeniami lub uciążliwościami, dla fotografa to doskonała okazja do wykonania bardzo ciekawych zdjęć na granicy natury i cywilizacji.



Jaskółka karmi pisklęta w gnieździe o ciekawej lokalizacji, którą jest strop stadniny policji konnej w Chorzowie.

Historia jednego zdjęcia

Sylwester z puszczykiem



Razem z rodziną od kilku lat spędzamy sylwestra w Pieninach. Jazdę na nartach i piękne widoki na Tatry łączymy ze spokojem jaką zapewnia okolica, z dala od Zakopanego, Białki i innych miejscowości turystycznych. Tradycyjne ognisko jest główną atrakcją, na którą najbardziej cieszy się mój syn. Dla mnie pobyt w górach to także okazja do obserwacji przyrody, a jeśli szczęście dopisze również do wykonania ciekawych zdjęć.

Raz udało nam się przywitać Nowy Rok w towarzystwie sowy. Puszczyk zamieszkał w kominie opuszczonej chałupy. Mimo wielu prób nie udało mi się zaobserwować lotu, ani nawet zrobić zdjęcia, gdy sowa siedzi z przodu komina. Puszczyk cały czas chował się pod daszkiem. Mimo to jego obecność nadała sylwestrowej zabawie dodatkowego smaczku.

Prezentowane zdjęcie z pewnością nie należy do najbardziej udanych, silny kontrast pomiędzy pozostającą w cieniu sową i tłem tworzonym przez ośnieżone smreki powodował trudności w doborze ekspozycji. Jednak

towarzysząca mu historia i wspomnienie miłych chwil powoduje, że jest dla mnie cenne.

Dobrzy dla przyrody



Jerzyk na zdjęciu ma przejmującą historię. Jest to też historia ludzi dobrych dla przyrody.

Gdy fotoreporter dokumentuje przyrodę, naturalnym odruchem jest skierować obiektyw również w kierunku ludzi. W swoich wędrówkach po Polsce, szukając ciekawych tematów, zawędrowałem również w miejsca, gdzie ludzie i dzikie zwierzęta spotykają się w odpowiedzi na realną potrzebę zwierząt. „Dobrzy dla przyrody” to cykl fotografii poświęcony osobom pomagającym dzikim zwierzętom, które zostały skrzywdzone przez człowieka lub po prostu potrzebują pomocy. Celem ich działań jest przywrócenie swoich podopiecznych naturze, ratowanie zagrożonego gatunku lub zapewnienie godnego życia w niewoli tym zwierzętom, które już nie będą żyć samodzielnie. Moim zamysłem było również odwrócenie perspektywy, chciałem pokazać, jak zwierzęta mogą postrzegać człowieka.



16.07.2015, Mazury, Leśniczówka Napromek, azyl dla dzikich zwierząt: młodych, chorych lub rannych. Zdjęcie przedstawia karmienie małej sarny znalezionej przez turystów i prawdopodobnie niepotrzebnie odebranej matce. W tle młody łось, ofiara wypadku drogowego. Sarna karmiona jest przez Marka Ślázoka, sześciolatniego turystę, mojego dzielnego syna, któremu pozwolono pomóc przy zwierzętach. Karmienie odbywa się pod nadzorem pracownika azylu.



24.07.2015, Fokarium w Helu, Stacja Morska Instytutu Oceanografii Uniwersytetu Gdańskiego i Polskiej Akademii Nauk. Rozpoczęcie treningu medycznego, foki podpływają do brzegu obserwując instruktora – Wioletę Miętkiewicz. Sytuacji przygląda się wolontariuszka Dagmara Cierpińska. W ciągu roku w pracy z fokami pomaga około 15 praktykantów i ponad 70 wolontariuszy.



08.08.2015, Park dzikich zwierząt "Kadzidłowo", znany z przywracania naturze między innymi rysia i bociana czarnego, znajduje się w okolicy Ruciane Nida. Na zdjęciu widać młode bociany czarne na specjalnej platformie przypominającej gniazdo, na której bezpiecznie nocują poza zasięgiem drapieżników oraz Mateusza, pracownika parku.



23.09.2015, Chorzów, Ośrodek Rehabilitacji Ptaków "Włochatka". Wiesława Włochowicz, prowadząca ośrodek razem z mężem, trzyma na rękach młodego jerzyka, który trafił do Chorzowa aż z Monachium w Niemczech. Ptak został przywieziony przez Niemca o śląskich korzeniach, który znalazł ptaka przed domem i nie wiedział jak mu pomóc. Niestety pacjent był zbyt słaby i nie przeżył.



27.11.2015, Mikołów, Ośrodek Rehabilitacji i Schronisko dla Dzikich Zwierząt "Leśne pogotowie". Na zdjęciu Jacek Wąsikowski, założyciel ośrodka, karmi jabłkami daniele. Każde zwierzę trafiło do ośrodka w inny sposób: jedno jest ofiarą wypadku drogowego, drugie wcześniej było w zoo, trzecie urodziło się na miejscu. Daniele, uznawane za szkodniki, zakłócające harmonię ekologiczną, pozostaną w pogotowiu do końca życia.



17.12.2015, Jaworzynka, Wolierowa Hodowla Głuszców. Działanie hodowli zmierza do przywrócenia gatunku naturze. Młode osobniki mają możliwość wychodzenia z woliery, w której żyją wraz z rodzicami. W ten sposób powoli się usamodzielniają i ostatecznie ją opuszczają, wybierając życie na wolności. Na zdjęciu kogut (samiec głuszcza) nie boi się swojego opiekuna, Arkadiusza Białobrzeskiego, często wręcz go atakuje, zachowując się podobnie jak podczas toków wobec rywala.

Dobry dla przyrody może być każdy z nas. Pamiętam z dzieciństwa, że ojciec poświęcił około dwóch godzin, żeby wypuścić w rury spustowej wróbla, który utknął w rynnie. Uwolniony ptak odleciał samodzielnie, więc wierzę, że uratowaliśmy mu życie. Ale żeby pomagać wystarczą małe rzeczy. Konsekwencja, jeśli zdecydujemy się dokarmiać ptaki zimą. Likwidacja napotkanych wnyków. Zachowania ekologiczne zmniejszające zanieczyszczenie środowiska. Udział w akcjach polegających na zbieraniu porzuconych śmieci. Segregacja odpadów. Uświadamianie innych.

Historia jednego zdjęcia

Puenta? Zarażać radością fotografowania przyrody!



Dzielę się z czytelnikami moimi doświadczeniami, zachęcając do poznawania polskiej natury, częstszego spoglądania przez okno, spacerowania, fotografowania, rozmawiania, oglądania zdjęć, ochrony przyrody i realizowania marzeń. Czytelnik, na którym zależy mi najbardziej, mój syn Marek niechętnie sięga po „Naturalnie przyroda”, gdyż uważa, że już wcześniej znał te historie... Częściowo ma rację, a czy udało mi się zarazić go pasją

fotografowania? Chyba tak, przynajmniej w zakresie fotografii przyrody. Dowodem na to była dość niecodzienna sytuacja. W konkursie fotograficznym „Świat zwierząt daleki od uzależnień” obaj zostaliśmy laureatami, każdy w swojej kategorii wiekowej. Misja ojca-fotografa nie została jeszcze zakończona sukcesem, ale jestem na dobrej drodze.

Adrian Ślązok, dziennikarz, który z miłości do fotografii przekwalifikował się w fotoreportera. I nie żałuje. Fotografia jest dla niego sposobem poznawania świata. Gdyby nie aparat w ręku, nie poznałby wielu interesujących ludzi, nie widział ważnych wydarzeń, nie odwiedził ciekawych miejsc.

Z jego zdjęć korzystały polskie media, takie jak Newsweek, Polityka, Wprost, Przekrój, Przegląd, Forbes, Puls Biznesu, Tygodnik Powszechny, Bloomberg Businessweek, Press, Playboy, National Geographic, Elle, Gazeta Wyborcza, Rzeczpospolita, Polska The Times, Gazeta Prawna, Przegląd Sportowy, Życie Warszawy, Onet, Wirtualna Polska, Interia, TVP, TVN, TVN24, Polsat, Polsat News, Polskie Radio, RMF, RMF MAXX, Radio ZET, Eska, Antyradio. Były również publikowane w mediach zagranicznych, na przykład The Time, BBC, SKY News, CNN, USA Today, People, Yahoo, MSN, AOL, Daily Mail, ABC Australia, Business Insider, Ming Pao, Комсомольская правда, Известия, Berliner Zeitung, Stern, Bild, RTL.

Jest autorem albumu fotograficznego „Cicha6”. Fotografie jego autorstwa można również znaleźć w wielu innych publikacjach. Korzystało z nich wiele wydawnictw, na przykład WSiP, Znak, Agora, Prószyński Media, Press, Publicat, Arena, Prasa i Książka, Zagroda, MediaL, Centrum Edukacji Dziecięcej, JUT, Multico, c2, Dom Wydawniczy Rafael.

Obecnie związany z Agencją Fotograficzną REPORTER, nadal współpracuje z Chorzowianinem, w którym stawiał pierwsze kroki jako fotoreporter. W roku akademickim 2016-2017 prowadził zajęcia na temat fotografii w Wyższej Szkole Zarządzania Ochroną Pracy w Katowicach, a w sezonie 2005-2006 był oficjalnym fotografem klubu piłkarskiego Ruch Chorzów.

Jest laureatem kilkudziesięciu konkursów fotograficznych. Uczestniczył w wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych, między innymi w Warszawie, Katowicach, Gdańsku, Wrocławiu, Poznaniu, Toruniu, Bydgoszczy, Włocławku, Łomży, Świdnicy, Krośnie, Jarocinie, Kalwarii Pałacowskiej, Rydułtowych, Siemianowicach Śląskich, Piekarach Śląskich, Czeladzi, Mikołowie, Świętochłowicach, Chorzowie oraz w internecie :).

Od kilkunastu lat fotografuje przyrodę. Docenia piękno natury, szczególnie dzikich zwierząt. Robi to z pasji, skupiając się na rodzimych gatunkach. Czasami, ze względu na dobro fotografowanego gatunku, zdjęcia wykonuje poza granicami Polski. W poszukiwaniu jak najlepszych ujęć zawędrował za koło podbiegunowe, przemierzał zamrożone rozlewiska rzeczne, pływał w stroju nurka oraz eksperymentował z wykorzystaniem fotopułapek.

Więcej informacji na stronie www.foto.chorzow.pl .



W pracy, podczas testowania bezprzewodowego sterowania. Przygotowania poprzedzają mityng lekkoatletyczny na Stadionie Śląskim.



Moje ulubione zdjęcie reporterskie. Stylistyka podejrzanie przypomina wykonywane przeze mnie fotografie przyrody.

POZNAJ OBLICZE POLSKIEJ FOTOGRAFII PRZYRODNICZEJ

W KSIĄŻCE ZNAJDZIESZ:

PRAKTYCZNE PORADY

SZTUCZKI TECHNICZNE

TESTY SPRZĘTU

NAJLEPSZE MIEJSCÓWKI

SYLWETKI CZOŁOWYCH POLSKICH FOTOGRAFÓW

ANEGDOTY

TAJEMNICE ZWIERZĄT

ETYCZNE DYLEMATY FOTOGRAFA

WSPANIAŁE ZDJĘCIA



W akcji bączek, najmniejsza z czapli.